Nr. 14. **Poznań, Niedziela 1-go Kwietnia 1900 r.** **Rok IV.**



Wskutek przygotowań do Nr-u Sienkiewiczowskiego, który wydamy starannie, z licznemi illustracyami i w kilkuarkuszowej objętości, ograniczamy dzisiejszy numer do 3 arkuszy.

„PRACA.“

Wdzięczni

za tak liczne a zawsze szczere dowody gorącego poparcia, którego „Praca“ z wszech stron ustawicznie doznaje, postanowiliśmy zgotować

milą niespodziankę

dla wszystkich czytelników

i to przez wydanie specyalnego numeru, poświęconego wyłącznie Sienkiewiczowi.

Będzie to w całem znaczeniu tego słowa piękne

Album Sienkiewicza

zaopatrzone bogato w śliczne illustracye i zajmującą objaśniającą treść.

Podjęte przez nas wydanie albumu Sienkiewicza będzie tak wykwintne, że śmiało posłuży za ozdobę — nawet salonu, a dla przeciętnego czytelnika pozostanie

na lata

cenną pamiątką.

Pierwsze siły pióra złożą się na urozmaicenie treści albumu.

Wydanie przez nas specyalnego numeru poświęconego wyłącznie Henrykowi Sienkiewiczowi ma posłużyć zarazem jako

winny hołd

dla największego pisarza,

który składa Wielkopolska, ku uczczeniu 25-letniej działalności autora „Potopu“.

W numerze Sienkiewiczowskim określimy w słowach zwięzłych, sławę której autor „Trylogii“ u obcych zażywa, przez co stwierdza wobec świata twórczą siłę ducha narodowego i jego żywotność moralną.

Liczne notatki bio- i bibliograficzne, mnóztwo szczegółów o Sienkiewiczu, cały wieniec wrażeń, na które składają się wspomnienia osobiste, poglądy na sztukę, opowiadania o podróżach itd. itd., oraz liczne illustracye zajmą obszerną i wielce zajmującą część albumu, które wydamy

już w pierwszych dniach kwietnia.

Prosimy więc nieociągać się z abonamentem, lecz już teraz zamówić „Pracę“ u listowego lub też pospieszyć albo posłać dołączony kwit abonamentowy wraz z jedną marką na pocztę, przez co uniknie czytelnik niemiłej przerwy w regularnym odbiorze pisma i przez pocztę otrzyma bezpłatnie zapowiedziane

album Sienkiewicza.

Mianowicie ciekawie przedstawi się strona illustracyjna tego jubileuszowego numeru. Zobaczą czytelnicy reprodukcyą słynnego portretu Sienkiewicza, Kazimierza Pochwalskiego, dalej obecny wizerunek autora „Rodziny Połanieckich“; reprodukcyą z rzeźby w bronzie przez Romana Lewandowskiego; Henryka Sienkiewicza w wili i w parku St. Maur, w łodzi na Marnie, w swojej warszawskiej pracowni literackiej, wreszcie fotografią Sienkiewicza z dziećmi. Dalej podobiznę dziadka pisarza, Józefa Sienkiewicza, podpułkownika artyleryi byłych wojsk polskich, oraz czterech tłomaczów dzieł Sienkiewicza, a mianowicie: Curtina, Barreta, Verdinois i Prado.

Osobny dział illustracyi stanowić będą miejscowości, zamieszkiwane przez Sienkiewicza, oraz wizerunki jego warszawskiego mieszkania. Wreszcie liczne reprodukcye pamiątek ze zbiorów Sienkiewicza itd. itd.

Całość numeru będzie pięknem i starannie ułożonem cennem albumem — a raczej zbiorem przyczynków do biografii wielkiego pisarza, zawierającym wiele rzeczy absolutnie nowych i mogących zainteresować szerszy ogół.

Ponieważ sam jeden numer Sienkiewiczowski dla poszczególnego czytelnika przedstawiać będzie znacznie większą wartość od całokwartalnego abonamentu, przeto żywimy błogą nadzieję, że szanowni czytelnicy przyczynią się do tego, by i krewni, przyjaciele i znajomi licznie przystąpili do abonamentu „Pracy“, w którym to celu chętnie przyślemy na żądanie każdą ilość numerów na rozdanie.

Każdy nowoprzybyły abonent otrzyma bezpłatnie wszystkie w druku będące powieści od początku.

Wydawnictwo „Pracy.“

Od Redakcyi.

W pierwszym dniu nowego kwartału witamy serdecznie wszystkich naszych Czytelników! Jak dotychczas, tak i nadal, pracować będziemy z Wami wspólnie pod hasłem obrony praw narodowych, oświaty ludu i polepszenia bytu materyalnego naszego społeczeństwa.

Niedawno minister pruski oznajmił, że w prasie polskiej widzi główne zło i przyczynę walki z rządem pruskim. Zaręczył on, że gdyby nie prasa, już by dawno panowały normalne stosunki pomiędzy ludnością polską i rządem

— a tak więc uczynił pisma polskie odpowiedzialnemi za tę wojnę podjazdową między społeczeństwem polskiem a rządem — za tę wojnę, której echa mącą dziś spokój nawet ognisk domowych i zatruwają niewinne umysły i serca dziecinne.

Nas — prasę polską — uczynił odpowiedzialnymi za to wszystko pan minister!

My tę odpowiedzialność przyjmujemy! Przyjmujemy ją na siebie w obliczu Boga i naszego społeczeństwa.

Prasa polska siłą dziejowych wypadków jest powołana do obrony przed germanizacyą, do budzenia ludu, do szerzenia poczucia grożącego nam niebezpieczeństwa. — — Tego zadania dopełniają pisma polskie, o ile je stać na to, a z zajętego posterunku nie zejdą i gróźb żadnego ministra się nie ulękną.

My wiemy, dokąd prowadzimy te tysiące Czytelników i mamy święte przekonanie, że prowadzimy je ku celom dla naszego polskiego narodu zbawiennym, choć wrogim i sprzecznym z interesami germanizacyi. *Przyjmujemy za to odpowiedzialność przed historyą i jej sądu się nie boimy: ale niech się sądu boją raczej ci, co nie mając odwagi przyznać się do wynaradawiających swych dążeń, mówią: Niemcy nie napastują, lecz są napastowani!*

Historya z czasem odsłoni całą ich obłudę i wyrzecze nad nimi słowo potępienia, które dziś już w sercu wszystkich sprawiedliwych ludzi wyrzeczone zostało.

Germanizacya to wąż jadowity, który się skrada chyłkiem do śpiącej ofiary, a pisma polskie — to ów głos niestłumiony tysiącznemi procesami, karami więziennemi i wydalaniami, ów głos, co budzi śpiącego, zanim go żądło węża dosięgnie i woła wciąż: Niebezpieczeństwo grozi! Baczność! Brońcie swego życia narodowego!

I tego głosu ostrzegawczego nie zdusi nikt!

Rozbrzmiewać on będzie coraz głośniej, coraz silniej, bo prawdę on głosi, a nie fałsz i obłudę; — bo świętą jest sprawa, której broni; — bo wiara w zwycięztwo prawdy siły mu dodaje.

Niech ministrowie pruscy na nasze pisma ciskają owe nikłe gromy z mównicy parlamentarnej — odbiją się one o puklerz wiary w czystość i szlachetność sprawy, której bronimy! Niech Hakata pieni się ze złości i bryzga na nas swym jadem — nie dosięgną te jej pociski nawet obuwia naszego i powrócą do błota, z którego wyszły! Niech tysiączne sposobiki administracyjnej maszyny państwowej w ruch wprowadzone zostaną, aby nam byt uniemożliwić, a wszystkie one unicestwione zostaną przez jedną czarodziejską siłę, która jest w naszych pismach: przez zaufanie i poparcie ludności.

Tej siły nie zmożecie panowie ministrowie! Ona przerosła was o głowę i ona zbroi pisma polskie na wszelką walkę.

Zaufanie naszego społeczeństwa jest z nami i na tem zaufaniu budujemy.

Widać, jak z dniem każdym zaufanie to rośnie, jak wzrasta poparcie udzielane pismom polskim przez społeczeństwo polskie, a każdy, kto uważnie wpatruje się w bieg wypadków, widzi, że zaufanie to, z jednego wytryska źródła — ze źródła wspólności uczuć i dążeń. *Pisma polskie są tylko echem, wymownem i głośnem, echem tego co czuje i cierpi ludność polska i dlatego mają zaufanie swego społeczeństwa!*

Czytelnicy „Pracy“! Zaufanie i poparcie to, któreśmy zdołali sobie zaskarbić w Was, było zawsze dla nas najdroższym skarbem. Staraliśmy się skarb ten powiększać, choćby kosztem wielkich ofiar, staraliśmy się być wiernem echem Waszych myśli i dążeń, Waszych skarg i bólu, Waszego przywiązania do Ojczyzny i nadziei zwycięztwa.

Zaufanie towarzyszyło nam na każdym kroku. Ten skarb najcenniejszy dawał nam siłę i moc do wytrwania na trudnem stanowisku, do pracowania w imię idei.

Ale skarb ten nie powinen leżeć bezczynnie. On powinien przynosić procenty w postaci silnego, skutecznego popierania „Pracy“. Macie do nas zaufanie — powinniście więc nas popierać, zjednywać nam coraz szersze grono Czytelników, aż wreszcie pierścieniem jednolitych usiłowań opaszemy całe społeczeństwo i stworzymy krąg, do którego z żadnej strony przystępu nie znajdzie germanizacya.

Polecamy też uwadze Waszej

„Czytelnię Polską“

z pomocą której wprowadzić można będzie zamiłowanie do czytania polskich książek w tych domach, do których już niemieckie książki dotarły. My dajemy ideę, dajemy pomysł — od Was i Waszego poparcia zależy, czy pomysł ten przerodzi się w nową, skuteczną dźwignię polskości.

A więc — czynnego poparcia jak najwięcej! Słowa uznania, jakiemi tak często darzą redakcyę naszą czytelnicy *„Pracy“* niech się przerodzą w czyny!

Redakcya.

Lojalni i wierni poddani...

„My, Polacy, jesteśmy lojalnymi i wiernymi poddanymi, płacimy skarbowi królewskiemu to, co się od nas należy, służymy w wojsku i żądamy tylko praw przyrzeczonych konstytucyą, jako lojalni i wierni poddani...“

„My, Polacy, walczyliśmy w obronie Niemiec przeciw Francyi i na polu bitwy złożyliśmy dowód naszej wierności i lojalności...“

„Doznajemy rozmaitych krzywd, nie dochowano wobec nas przyrzeczeń i traktatów, na wpół nas wyjęto z pod konstytucyi, upośledzono język nasz w szkołach, sądownictwie i urzędach, a my żądamy tylko praw naszych, pozostając wiernymi i lojalnymi poddanymi...“

Te zapewnienia o naszej „lojalności i wierności,“ o wiernopoddańczych uczuciach, jakie mamy wobec króla i rządu, powtarzają się przy każdej sposobności i w każdej mowie posłów naszych, lub w artykułach prasy polskiej, omawiających nasze położenie polityczne.

Doprawdy warto się zastanowić nad tem, czy te zapewnienia, że jesteśmy — pomimo wszystko — lojalnymi i wiernymi poddanymi, są prawdziwe i czy są stosowne.

Zdaje się, że ani nie są prawdziwe ani nie są stosowne w naszem położeniu.

Pocóż łudzić siebie i innych? Czy nasze zapewnienia o tej lojalności i wierności wzbudzić mogą w przedstawicielach rządu coś więcej prócz uczucia politowania nad dobrowolnem uniżaniem się?

Wszak jedno wystarczy zadać pytanie, aby kwestyę rozwiązać co do naszej owej wychwalanej lojalności i wierności. Wystarczy zapytać: czy my w obecnem naszem położeniu możemy żywić jakąś lojalność i wierność wobec Prus? Czy społeczeństwo nasze, nękane i torturowane w wyrafinowany sposób, może w sobie znaleść choć krztę tej lojalności i wierności? Niechaj się znajdzie choć jeden Polak pod zaborem pruskim, któryby z ręką na sercu mógł powiedzieć, że my możemy być lojalni i wierni w obec rządu pruskiego! Pokażcie takiego!

Nie! my tej lojalności ani wierności żywić nie możemy! Skąd i za co? Czy za to, że nie dochowano wobec nas przyrzeczeń zaprzysiężonych słowem królewskiem? Czy za to, że język nasz wyrugowano ze szkoły, że go wyklęto z urzędów i sądownictwa? Czy za to, że nas rugują z ziemi ojców? Czy za to, że przesiedlają naszych urzędników w głąb Niemiec, nasz kraj prowadzą do ruiny zamknięciem granic dla robotnika polskiego z innych dzielnic?

I my za to mamy być wdzięczni? mamy być wierni? mamy być lojalni?

Czy to nie ironia, nie gorzkie szyderstwo losu, że gdy pod nami nogi się uginają, tak przygnieceni jesteśmy brzemieniem walących się w nas ciosów, jeszcze zbladłemi usty szepczemy: jesteśmy wierni i lojalni poddani!

Chybaby z grobów powstał długi szereg gnębionych, więzionych i mordowanych patryotów, gdyby to miało być prawdą. A każdy z tych cieni miałby prawo zapytać się: i za cóż wy jesteście wierni i lojalni?

I cóż byśmy rzekli na to?

Trzeba się tylko zastanowić, że dwie są możliwości stosunku poddanych do rządu: Stosunek ten opiera się albo na zaufaniu, albo na sile bagnetów.

Jeśli się opiera na zaufaniu, wtedy poddani są wierni i lojalni — a rząd wobec nich sprawiedliwym i ojcowskim.

Jeśli się opiera na sile, wtedy poddani są poddanymi, bo muszą, rząd postępuje z nimi, jak chce, a o wierności i lojalności nie ma mowy.

Stosunek nasz do rządu pruskiego, do którejż z tych dwóch form zaliczyć? Cóż rząd zrobił, aby zyskać naszą wierność i lojalność? Nic. On nie dba o nią. On ma za sobą siłę i to mu wystarcza. Nasza wierność i lojalność niema dla niego nawet wartości sadła na buty dla żołnierzy. Nasz stosunek do rządu pruskiego nie jest oparty na zaufaniu, bo my jemu nie wierzymy, a on nam. Stosunek ten opiera się na sile — a my rząd częstujemy — nieproszeni — wciąż naszą wiernością i lojalnością. Co za upokorzenie!

Nawet pies nie liże ręki, która go bije. Chyba byśmy chcieli naśladować owych gladyatorów rzymskich, którzy choć skazani przez Cezara na śmierć na arenie cyrkowej, do końca, do ostatniego tchnienia czcili imię swego pana słowem: „Ave Caesar!“

A skoro rząd nie zdziałał nic, aby zjednać nasze zaufanie, naszą przychylność, naszą wierność — czyż to nie frazes, żeśmy wierni i lojalni?

Aniśmy wierni, aniśmy lojalni!

Nie mamy dla takiego rządu ani jednego dobrego życzenia w duszy i sam niech sobie winę tego przypisze. Niech zmieni swe postępowanie wobec nas, niech nas uważa za obywateli a nie za podwładnych a wtedy będziemy wierni i lojalni. Polak i w nieszczęściu potrafi być wdzięcznym. Dowody Austrya — tam Polacy są wierni i lojalni, bo mają za co być nimi.

Odrzućmy więc precz ten upokarzający frazes o naszej wierności. Jest to jedno z tych konwencyonalnych kłamstw, które mają kurs, choć nie mają wartości dla nikogo. Niechaj lepiej rząd na arenie parlamentarnej słyszy od naszych posłów szczerą nagą prawdę. To i jemu i nam może tylko wyjść na dobre.

Vester.

Złote słowa prawdy

wypowiedział nasz wielce szanowny i zasłużony poseł, p. Władysław Brodnicki, na wiecu w Kościanie. Dla szczupłych ram pisma powtarzamy tylko w skróceniu niektóre ustępy tej pięknej mowy, która — jak nam nasz korespondent donosi — niejednego z licznych słuchaczy do łez poruszyła. Pomiędzy innemi powiedział p. poseł Brodnicki co następuje:

Przy etacie oświecenia rok rocznie żądaliśmy, ażeby w szkołach elementarnych był wykład polski, bo cóż znaczy szkoła ludowa bez języka ludu, który do tej szkoły posyła swe dzieci. Czego mają się te dzieci nauczyć? Jest to anomalią i czemś tak potwornem, że zdawałoby się, iż coś podobnego w państwie cywilizowanem istnieć nie może. Naturalnie, że dzieci nierozumiejąc języka, dziczeją. Skutki już widać, a będą jeszcze gorsze. Bo skoro dzieci nie pobierają nauki języka polskiego, to też nie są w stanie zrozumieć głębokich zasad wiary, pojęć o Bóstwie, nie są w stanie o miłości Boga, sprawiedliwości, wszechmocności, jakiegokolwiek nabrać wyobrażenia.

To też niema się co dziwić, że powoli młodzi ludzie, którzy nie odebrawszy dokładnej nauki w religii, wstępując do wojska a następnie oddając się pracy po za krajem swoim rodzinnym, zatracają wiarę, zapominają pacierza swego, a oddaleni od macierzy, marnieją wśród ludzi, przesiąkłych nihilizmem i bezprawiem.

Ci, którym z początku przez szkołę i matkę religia głęboko wpojoną została, ci nie zaginą, bo sumienie się w nich obudzi i rychlej lub później na łono Kościoła powrócą.

To też matki, widząc nieszczęście, zawisłe nad swojemi dziećmi, łzy wylewają, ale te łzy to są perły, ofiarowane przed tron Najwyższego Pana, aby im dodał sił do wpojenia tych zalet, których szkoła nie uczy.

I my na naszych matkach Polkach nie zawiedziemy się. (Długotrwałe oklaski.)

Przy etacie szkół elementarnych zabrał głos poseł ks. dr. Jaździewski i wykazał, że tylko mamy dwa katolickie seminarya nauczycielskie, a nauczyciele nie umieją po polsku. Inspektor szkolny w Gostyniu chciał zaprowadzić pacierz niemiecki w polskich szkołach. W tej samej sprawie przemawiał poseł Motty. Inspektor powiatowy Rudenick, wydał w Jarocinie rozporządzenie, że każdy nauczyciel ma się starać niemczyć polskie dzieci, a królewska rejencya w Gdańsku poleciła nauczycielom w domu używać tylko języka niemieckiego.

Trudno pojąć, jak Niemcy, co szanują swój język, swój śpiew, zalecają Polakom, aby porzucili własny język. Nam jest język równie drogi jak Niemcom — jest to niemoralne żądanie, bo w niem mieści się nawoływanie do zaprzedania swoich braci, Polacy mają być zdrajcami wobec własnego narodu.

Niemcom zaś zakazano w szkole uczyć się polskiego języka, chociaż im tutaj bardzo potrzebny — wszystkich innych języków wolno im się uczyć. To też z powodu tego zachodzą częste przypadki katowania dzieci polskich, gdyż nauczyciel zniecierpliwiony systemem swoim nauczania dzieci, w końcu kijem chce wpoić naukę języka niemieckiego.

Następnie poruszył mówca sprawę funduszu 200 milionowego na kolonizacyą. Koło polskie rok rocznie wytyka niesprawiedliwość, jaka nam się dzieje z powodu tego funduszu, skoro nasz własny grosz na naszą skórę jest obracany. Chcą nas pozbawić ziemi, a przecież ta ziemia polska jest nie tylko karmicielką, ale pobojowiskiem przesiąkłem krwią ojców, cmentarzem, na którym bieleją kości naszych przodków. (Oklaski.) Czemże jest naród bez ziemi, pytam? Naród pozbawiający się ziemi, pozbywa się prawa bytu, staje się proletaryatem. Komisya kolonizacyjna zdąża do zniemczenia i sprotestantyzowania kraju, czego najlepszym dowodem budowanie kościołów ewangielickich i sprowadzanie w katolickie strony, gdzie tylko polski głos i polskie pieśni nabożne rozbrzmiewały po łanach i lasach, samych tylko protestantów. Ale przez kolonizacyą naród nasz opuszcza Księstwo, bo wyprowadza się daleko po za morze do obcych krajów, gdzie po części tam zostaje.

W przeszłym roku w mowie mojej przy kolonizacyi, zapytałem się rządu, czemu nie podaje statystyki, skoro wszystkie inne umieszcza, ilu ludzi roboczych Polaków przez nabycie naszych ziem przez kolonizacyą się wyprowadziło? Ani

w tym roku w memoryale kolonizacyjnym nie podał rząd ubytku naszych ludzi z Księstwa.

Ze stanowiska prawnego przemawiał w zeszłym roku przy obradach nad memoryałem komisyi poseł dr. Mizerski.

Co najgorsze to, że hakatyści nigdy nie będą za zniesieniem kolonizacyi, albowiem kolonizacya jest dla ich zubożałych członków prawdziwem dobrodziejstwem, tysiące ludzi różnych zawodów, zbankrutowanych właścicieli, urzędników ciśnie się pod skrzydła kolonizacyi, a ta zawsze bądź to przez odsprzedanie „restgutów“ lub przyjęcie na urzędników zawsze dostarczy im chleba.

Przychodzę teraz do funduszu gadzinowego z 400 tysięcy obecnie na 420 tysięcy m. podwyższonego a przeznaczonego na popieranie germanizacyi w Księstwie Poznańskiem. Jest to jeden z tych funduszów gadzinowych, „Reptilien-Fonds“, jak go nazwał Richter, których rząd w niewiadomy sposób używa ku popieraniu germanizacyi, a tem samem na niemczenie nas. My z podatków nic nie mamy a przez konfiskatę dóbr klasztornych rząd zabrał nam fundusze. Niemcy nie potrzebują żadnych stypendyów. Gdy w komisyi ks. Neubauer i ks. Jażdzewski zażądali objaśnień względem udzielanych stypendyi z tego funduszu, minister Bosse nie chciał dać żadnego wyjaśnienia. Czy boi się światła dziennego?

Posłowie Mizerski i Głębocki wykazywali, że fundusz gadzinowy sprzeciwia się duchowi reskryptu ministra z 12/4 98, który zalecił urzędnikom pojednawcze stanowisko wobec Polaków.

Piękne słowa Miquela są czcze i nie zgadzają się z czynami.

Poseł Brodnicki mówi dalej:

Do jakiego stopnia nienawiść niemców dochodzi, dowodzi najlepiej związek hakatystów. Ten związek rozpowszechniony i zorganizowany po wszystkich miastach, już dzisiaj po całych Prusach, dąży li tylko do wyparcia nas z naszych siedzib, do odebrania nam chleba, do wyzucia nas ze wszystkiego. Do tego związku należą urzędnicy pruscy, a minister Köller oświadczył, że nie może zakazać żadnemu urzędnikowi wstąpienia do tego związku, bo to nie żaden związek polityczny. Na mocy tej odpowiedzi związek się rozprzestrzenił — bo ten związek jest rządowi na rękę. — Rząd jest nawet pod naciskiem HKT., to jest tej „uciśnionej“ od nas niemczyzny, która nam wszystko zabiera, coraz twardsze stanowi prawa i odwrotnie zachęca hakatystów, aby się uskarżali, aby rząd dalej mógł tę walkę naprzeciw nam prowadzić.

To też rząd pod wpływem Towarzystwa HKT. pozbywa się nawet przy kolejach zatrudnionych długie lata lekarzy i robotników Polaków, a szowinizm do tego dochodzi, że zachodziły przypadki, gdzie Niemcy rozmawiającym na kolei podróżnym zakazywali mówić po polsku. Niemcy uskarżają się na Polaków, że Niemców bojkotują, a wiedzą o tem dobrze, że na każdym kroku nam krzywdę robią.

Taki p. Hansemann żądał wręcz, aby Polaków ekspropryować.

Mówiąc o zakazie przypuszczenia gości z Królestwa i Galicyi do zjazdu lekarzy 1898 w Poznaniu, zapytał mówca, czy to nie hamulec cywilizacyi, dzisiaj, gdzie wszystko dąży do rozpowszechnienia wiedzy i oświaty?

W sprawie założenia biblioteki i muzeum niemieckiego w Poznaniu przemawiał poseł ks. kanonik Neubauer. Ponieważ instytucye te mają być środkami germanizacyjnemi, nie możemy ich pochwalić, choć zresztą byłyby nam sympatyczne.

Panowie z tego wszystkiego przekonujecie się, jak się z nami rząd obchodzi.

To niezawodnie nagroda za spełnianie naszych obowiązków wobec państwa, to niezawodnie nagroda, że porówno z Niemcami płaciliśmy i płacimy podatek i przelewaliśmy krew za państwo!

Spytaliście się, ile krwi popłynęło polskiej w roku 1866 i 1870? A spytacie się, jak się z nami obchodzą? Wykupują nasze ziemie i obsadzają takowe Niemcami, rozdają wszystkie prawie urzędy Niemcom, od najniższego do najwyższego urzędu. Sołtysów, chociaż ich większość gmin wybierze, nie chcą potwierdzić, Polakom konsensu na gościńce nie chcą dać, a przecież artykuł 4 konstytucyi powiada, że każdy wobec prawa jest równy.

A mamy prawo do żądania, aby nasz język, naszą narodowość, naszą odrębność i religią katolicką szanowano, bo egzystencya nasza oparta na prawie pisanem:

1) na traktatach wiedeńskich,
2) na przyrzeczeniu królewskiem,
3) na prawie przyrodzonem, bo narodowość jest przez Boga daną,
4) na konstytucyi z r. 1850.

Jeżeli my spełniamy nasze obowiązki, to i rząd zobowiązany jest do spełnienia przyjętych obowiązków względem nas.

A jeżeli ich nie spełnia, to jest naszym świętym obowiązkiem bronić tych praw z wszelką energią i godnością, bo na to wysłaliście nas, panowie, abyśmy tych praw nam zagwarantowanych bronili i o przywrócenie ich się dopominali.

Polakami nas Pan Bóg stworzył i pomimo wszelkich zakusów zgermanizowania nas, Polakami pozostaniemy. Bo narodu, co ma taką przeszłość po za sobą, gdzie tyle wrodzonych cnot, zalet i szlachetnych popędów, gdzie wiara nasza katolicka święta, tak głęboko zakorzeniona, nikt nie pokona.

Panowie! Kto ma takie przyrzeczenia zagwarantowane słowem królewskiem, jak my, na mocy traktatu zagwarantowany język, narodowość, ojczyznę, ten nie potrzebuje się prosić, lecz żądać tego, co mu się należy.

Niechętnie patrzy rząd na nasze obrony w sejmie, stara się, aby było jak najmniej posłów Polaków, bo bądź jak bądź rozchodzą się one po całym świecie, wytykając krzywdy, jakie się nam dzieją. Niemcy opiekują się innymi, odległymi narodami, a nas niszczą.

Panowie! Nie mamy się co łudzić, bo rząd zmierza do swojego celu wynarodowienia nas i nie myśli zaprowadzać zmian na naszą korzyść.

Najlepszym dowodem, że i w tym roku przy obradach nad etatem ministerstwa spraw wewnętrznych, gdy ks. dr. Jażdzewski uskarżał się w bardzo łagodnej formie na rozwiązywanie zebrań, przeistaczanie nazw, minister Rheinbaben wpadł w tak gwałtowny ton, że aż groził i zapowiedział, że w kierunku wobec Polaków nie myśli zmieniać polityki, bo Polacy nic więcej nie robią, jak tylko prowadzą wielką agitacyą wielkopolską (Głosy: Nieprawda!); powinni być raczej wdzięczni za dobrodziejstwa, jakich doznają. W tym samym tonie przemawiał minister oświecenia Studt. Zwalczał ich energicznie poseł Głębocki.

Z tego wszystkiego widzicie, moi panowie, i z tej odpowiedzi tych dwóch ministrów, którzy zapatrywanie całego ministerstwa wypowiedzieli, że nie możemy na jakiekolwiek ulgi ze strony rządu liczyć, tylko iść tą drogą, jaką nam sumienie jako katolikom i Polakom iść nakazuje.

Przypomnijmy sobie tylko, jak co rok nowemi rozporządzeniami, nasze prawa ścieśniali! I dobrze się stało, że z taką otwartością obydwaj ministrowie wystąpili, bo nareszcie tym, co zawsze spodziewali się jakich ulg lub łask od rządu, nareszcie bielmo z ócz spadło, przekonali się, że naród polski pod panowaniem pruskiem praw zagwarantowanych, ani łask ani ulg się nie doczeka. Tak długo dopóki się czego spodziewa, nie bierze się energicznie do pracy, a mamy wielkie obowiązki do spełnienia, albowiem nietylko musimy naprawić błędy przez nas popełnione, ale musimy iść naprzód, aby pracą, jednością i miłością wszystkich stanów stanąć zarówno pomiędzy narodami walczącymi o byt i cywilizacyą. Tak, moi panowie, musimy się starać przedewszystkiem o kęs chleba, który nam usiłują wydrzeć, musimy pracować, oszczędzać, uczyć się, abyśmy się nie dali wyprzeć z ziemi naszej i zajęli ważne wybitne

stanowisko w przemyśle. Widzimy, kto umie zapracować na chleb dla siebie, rodziny i bliźnich, ten nabiera pewności samego siebie, staje się samodzielny, a takich nasz naród dużo potrzebuje.

Widzimy, moi panowie, że w tej niebezpiecznej walce skierowanej przeciw nam, musimy się wszyscy złączyć i zjednoczyć, bo przecież wszyscy jesteśwy synami jednego Kościoła i jednej Matki ojczyzny i wszelkiemi siłami się starać, abyśmy narodowość, wiarę naszą bez uszczerbku jako prawdziwą świętość na najwyższym szczeblu w narodzie naszym utrzymali. Przecież to jest nasz najdroższy skarb.

Odbierają nam nasz język, chcieliby, abyśmy zapomnieli naszej pięknej mowy, abyśmy zapomnieli o naszych pieśniach wzniosłych polskich nabożnych, naszej pieśni „Boga Rodzico“ — których używali ojcowie nasi idąc do boju, lub dziękując za dolę i niedolę. Dlatego tem bardziej szanujmy ten język, kochajmy, pielęgnujmy go, niechaj nie idzie w poniewierkę, skoro jest wykreślony w rządzie — a pamiętajcie, niech ci co żądni naszego grosza, nauczą się języka polskiego!

Dziwne zaiste, że pomimo tych wyjątkowych praw, tego ciągłego podcinania nam naszych sił żywotnich z strony rządu i hakatystów, naród nasz nie upada, ale przeciwnie wzmaga się coraz wyżej i wyżej — widocznie, że Pan Bóg w miłosierdziu swojem wybrał dla nas drogę skalistą, ale skuteczną, gdyż naród nasz przez prześladowanie jak złoto w ogniu, coraz bardziej z błędów się czyści, nabiera hartu, nabiera siły i wiedzy, że wszystkie narody stworzone przez Boga mają równe prawo do egzystencyi. Nie dla jednego narodu stworzona ziemia, aby opanował ją i deptał nogami, ale dla wszystkich narodów.

Pracujmy zatem dalej spokojnie, wytrwale, te dłonie już złączone spójmy jeszcze silniej, bo tylko w łączności będziemy mocni, bądźmy sobie życzliwi, wspomagajmy się radą i czynem a nie zapominajmy, że nie zawsze siła brutalna panować będzie nad prawem, bo rychlej czy później sprawiedliwość zajaśnieć musi, sprawiedliwość zajaśnieje.

(Że mowę szanownego posła wiecownicy kościańscy w wielu miejscach z rozkoszą w duszy i z przejęciem się gorąco oklaskiwali, zbytecznie chyba dodawać. Przyp. Red. „Pracy.“)

Czołem przed naszym ukochanym posłem Brodnickim! Cześć mu i chwała za gorliwą opiekę o prawa nasze, za niestrudzoną pracę nad ludem, za gorącą miłość do wszystkiego, co nasze, co polskie! *P.*

Z pamiętnych chwil. *)

IV.

Taki był stan rzeczy, kiedy na dniu 5 kwietnia długo oczekiwany komisarz królewski jen. Willisen przyjechał do Poznania.

W instrukcyi wręczonej jenerałowi Willisen czytamy, że naprzód należy się o to starać, by wszędzie prawna władza przywrócona została, nawet na drodze surowych środków, jeźli się inaczej nie da.

Ledwo co stanąwszy na gruncie Poznania Willisen wydał odezwę, w której w następujących słowach zachęcał do „przywrócenia porządku prawnego“:

> „Przyrzeczona przez N. P. reorganizacya prowincyi rozpocznie się, mam ku temu potrzebne pełnomocnictwo.
>
> „Polacy! chcecie mieć rząd narodowy i postępowanie sądowe w waszym języku: będziecie mieli jedno i drugie. Jako pierwszą tego rękojmią nakazał N. Pan, aby Polak stanął na czele władzy administracyjnej, oraz, aby wolny wybór landratów przywrócony był prowincyi. Chcecie siły narodowej zbrojnej, macie ją już w landwerze; nie ma innej bardziej narodowej nad tę; wszystko, czego sobie życzyć możecie, da się z nią połączyć i chętnie przyjmę propozycye mężów doświadczonych z pośrodka was względem zmian, jakichbyście sobie życzyć mogli, jako to n. p. względem oznak i języka służbowego.
>
> „Niemcy! nie miejcie żadnej obawy. Prawa, jakie wam język wasz nadaje, są nieskazitelne; całe Prusy ręczą wam za nie. Miejcie zaufanie do Polaków, pomimo naturalnego wzburzenia w ostatnim czasie najsilniejszego dokładali starania, aby nikt z was ukrzywdzonym nie był. Pojedyńcze wypadki są wyjątkami, nad któremi oni sami ubolewają, a i między wami byli tacy, którzy granicę umiarkowania przekroczyli. Dlatego pierwszą jest rzeczą, zaniechać wzajemnych obwinień, miejcie tylko całość na oku, bądźcie pobłażającymi i łagodnymi w przypadkach szczególnych.
>
> „Przystąpimy zaraz do dzieła, atoli pierwej porządek i prawność przywrócić całkiem należy.“

Dalej wzywa komitety i oddziały ochotników do rozejścia się zapewniając, że t. zw. „landwera“ przez samo swoje urządzenie jest już wojskiem narodowem, a co do oznak i języka służbowego, wszystko da się przy dobrych chęciach ułożyć. Co do komitetów polskich zaznacza Willisen, że te tylko mogą prawnie istnieć, co do istnienia którychc władze miejscowe przeszkód nie widzą. Wreszcie przyobiecał w imieniu króla „powszechną amnestyą, za wszystko co zaszło“.

Odezwa Willisena u Polaków ujemne zrobiła wrażenie. Zwłaszcza ustęp o amnestyi niejednemu, co zupełnie „legalną robił rewolucyę“ rąbek zasłony, za którą była prawda, uchylił.

Willisen tłomaczył się, że cały ten ustęp o amnestyi jedynie tylko przez pomyłkę sekretarza się dostał — i to wystarczyło.

Zato Niemcy nie posiadali się z oburzenia, zarówno z powodu, że im zagwarantował język niemiecki Willisen w swej odezwie, jak z powodu, że z Polakami zaczął pertraktować. Wymownym wyrazem tych uczuć Niemców poznańskich było już na samym wstępie pobytu Willisena w Poznaniu przyjęcie, jakiego on doznał u generała Colomba.

Najlepiej będzie własne jego opowiadanie przytoczyć.

> „Przybyłego do Poznania z najwyraźniejszem poleceniem zakończenia bez rozlewu krwi nieprzyjemnego i trudzącego rząd stosunku, przyjął mnie JW. Jenerał komenderujący d. 7 z rana uwiadomieniem, iż nazajutrz uderzyć postanowił. Naturalnie musiałem przeciw temu protestować — napad w każdym poprzednim czasie łatwy do uskutecznienia i tylekroć doradzany, zdawał mi się zupełnie niepodobnym w chwili, kiedy przybyłem z misyą pokoju. W jakiemże świetle byłbym ja i ci co mnie posłali, wystąpił, gdyby powiedziano, że przybywam przeszkodzić rozlewowi krwi, a w tejże chwili na bitwę zezwalam! Po dłuższem rozprawianiu przyjęto moje powody, i zgodzono się na trzydniową zwłokę.“

Zwłoki tej użył Willisen, aby rozpocząć zapowiedzianą reorganizacyę narodową Księztwa, a to w celu zyskania zaufania ze strony Polaków, któreby mu ułatwiło później rozbrojenie mas powstańczych. Zażądał więc od komitetu, aby wyznaczono członków komisyi reorganizacyjnej. Wyznaczeni zostali: Brodowski, sędzia Gregor, A. Kraszewski, Libelt, Maciej Mielżyński, Potworowski, Prusinowski i Leon Szuman. Komisya ta wraz z nadburmistrzem Naumannem i adwokatem Boyem jak reprezentantami Niemców obradowała u naczelnego prezesa nad przeprowadzeniem reorganizacyi.

Najwięcej trudności sprawiały protesty niektórych powiatów zniemczonych przeciw odłączeniu od Związku niemieckiego. Wprowadzały one do spraw reorganizacyi Księstwa nową zupełnie sprawę: przeprowadzenia granicy narodowej.

*) Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.

Trzeciego kwietnia deputowani niemieccy na sejm z Księstwa Poznańskiego podali do ministrów petycye, ażeby powiaty nad Notecią: powiaty Międzchodzki, Międzyrzecki, Babimostski, Wschowski, część Krobskiego od reorganizacyi wyłączyć, i wszelkich starań dołożyć, ażeby do związku niemieckiego jak najspieszniej przyjęte zostały. Przytoczyli jako powody, że przez te powiaty prowadzi połączenie wodą, prowincyi nadbaltyckich ze środkiem Niemiec, jako też wielki trakt wojskowy między głównemi punktami linii obronnej.

Po przyjeździe Willisena zebrały się rozmaite deputacye niemieckie i przedstawiły mu szereg swych postulatów. Przedewszystkiem żądano, aby niezwłocznie wydał Willisen proklamacyę, że prowincya Poznańska od Prus oderwana nie zostanie a wszystkie czynności komitetów ogłasza się za nieprawne; dalej, że i komisya reorganizacyjna ma być zawieszona w czynnościach dopóki zupełny spokój nie nastąpi; a wreszcie aby powstańców zebranych w obozach rozproszyć bagnetami.

Tak wyglądało *minimum* żądań kliki urzędowej, która chciała, aby jej żądania za wyraz przekonań niemieckiej ludności uważano.

Z drugiej strony Polacy naciskali jenerała, aby reorganizacyę rozpoczynał. Dopuścić do zerwania z Polakami Willisen nie chciał ani nie mógł bez wyrzeczenia się swej misyi pokojowej. Posłał do zatwierdzenia do Berlina propozycyę nominacyi Gustawa Potworowskiego na prezesa a sam tymczasem pertraktował z komisyą reorganizacyjną i z komitetem (ludzie w obydwóch tych komisyach zasiadający byli przeważnie ci sami) w sprawie puszczenia siły zbrojnej; pertraktacye te odbywały się pod ciągłą groźbą Colomba, że każe wojskom swym rozpocząć walkę.

Willisen miał pełno zapewnień i przyrzeczeń na obiedwie strony; Colombowi przyrzekał, że lada chwila Polaków rozbroi, Polakom zaś — że wszelkie ich życzenia będę spełnione.

Widzieliśmy z jaką trudnością Willisen uzyskał zwłokę trzydniową. Jeszcze trudniej było mu zgodę na przedłużenie jej do 11-go wyrobić. W obec Willisena nie przestała władza wojskowa swojej odrębnej drogi się trzymać. Już po przyjeździe jego, rozdano manifest z podpisami jenerała Colomba i p. Beurmanna, nakazujący złożenie broni, i grożący użyciem siły, manifest datowany 31 Marca a pierwej niegłoszony; jenerał Steinäcker kazał ustąpić z Poznania legii akademickiej w Berlinie utworzonej, pozwalając jej wszakże z bronią w ręku udać się do obozów.

Obaj ci dowódzcy nie tylko, że nie powstrzymywali wybuchów dzikiej niechęci ze strony żydów i Niemców przeciw jenerałowi Willisenowi, ale sami przyczyniali się do podburzenia umysłów.

Nie widząc sposobu nakłonienia Polaków do rozbrojenia, Willisen oświadczył wreszcie w odezwie 9 kwietnia, że król zgodził się na utworzenie narodowej dywizyi poznańskiej, za warunek jednak stawia rozejście się...

Odezwa ta minęła bez wrażenia.

Pokojowa misya Willisena z dniem każdym natrafiała na coraz większe trudności w postaci krwawych zajść pomiędzy wojskiem niemieckiem a Polakami. Kroków wojennych wprawdzie nie rozpoczęto, ale w miejscowościach, gdzie nie było dostatecznych sił polskich do obrony, wojsko pruskie dopuszczało się najdzikszych wybryków, czując, że wobec skoncentrowania armii pruskiej w Księztwie orężna rozprawa z powstańcami nie mogłaby się skończyć zwycięztwem powstania.

W sam dzień przyjazdu Willisena do Poznania, tj. 5-go Kwietnia zaszedł w Łabiszynie wypadek, który do głębi poruszył całe Księstwo. Nad samym wieczorem przybył do Łabiszyna oddział obywateli polskich z Królestwa, złożony z 28 właścicieli ziemskich ze służbą i 35 koni. Oddział ten podążał do Poznania, aby wziąść udział w powstaniu. Na osobnym wozie wieźli fuzye, pistolety, amunicyę i prowianty, i tak nie spodziewając się nic złego, przejeżdzają przez miasteczko, serdecznemi okrzykami witani przez miejscową ludność polską. Gdy już byli za miastem dopędza ich oddział huzarów pruskich, który stał w Łabiszynie, a za huzarami banda żydów i Niemców łabiszyńskich, uzbrojona w widły, siekiery, drągi i haki pożarne.

Słysząc z oddali rozkaz komenderującego oddziałem huzarów, żeby zsiadać z koni, Polacy nie spodziewając się nic złego, zsiadają. Zagrzmiała wtedy salwa wystrzałów, pada kilku Polaków trupem a zanim reszta zdołała dopaść wozu z bronią, już huzarzy wpadali na nich z pałaszami i siec poczęli bezbronnych. Na wołanie „pardon“ jedną usłyszeli odpowiedź *„für Polaken ist kein Pardon“*. Noc zapadająca i poblizkie błota Noteci zdołały uratować kilkunastu Polaków od zguby. Za uciekającymi puściła się zgraja żydów i Niemców, wyszukując ich za pomocą psów z trzęsawisk, które im miały służyć za schronienie.

Dziesięć osób zarąbano na śmierć, kilkanaście poraniono, ogółem zaś w powrozach przyciągnięto do miasta 33-ch jeńców,

Z tej „walki“ huzarzy wyszli cało, bez zadraśnięcia i przyprowadziwszy więźniów do miasta, wspaniałomyślnie oddali ich w ręce hałastry żydowsko-niemieckiej, która z wściekłością rzuciła się na skrępowane powrozami ofiary, kilka z nich stratowała na śmierć, nad innemi zaś pastwiła się, dopóki miejscowy leśniczy (Niemiec) i lekarz (Polak) nie wyrwali konających z rąk rozbestwionego tłumu, własne narażając życie.

Tego wieczora żydzi i Niemcy obchodzili swe zwycięztwo rzęsistą iluminacyą miasteczka.

Nazajutrz władza wojskowa przysłała inny oddział huzarów, najgorszych żydów wzięto pod straż i odesłano w celu śledztwa do Poznania. Jako jedyny zarzut przeciw nim figurowało potem rozgrabienie kosztowności, które obywatele z Królestwa wieźli na wozie, aby złożyć komitetowi narodowemu w Poznaniu na potrzeby wojny. W tydzień później donosiła „Gazeta Polska“ o śmierci Leona Lipskiego, który z ran zadanych przez motłoch żydowski wyleczyć się nie zdołał. Dnia 9-go kwietnia Żnin był widownią walki. Czwartego kwietnia zajęła Żnin kompania niemieckiej piechoty. Swoim zwyczajem zaczęło żołdactwo zdzierać kokardy, bić na ulicach mieszczan, szukać zaczepek przy każdej sposobności. Mieszczanie wysłali dwóch z pomiędzy siebie do mieszkających w pobliżu obywateli Wiktora Potockiego i Zdębińskiego, prosząc o radę. Odpowiedziano im, że komitet centralny narodowy prosi o unikanie sprzeczek z Niemcami

Dnia 9 kwietnia była to niedziela — wywołał awanturę jeden z żołnierzy przed kościołem zdarłszy parobczakowi kokardę polską z czapki. Napastnika otoczyli chłopi i zaczęli go okładać kijami. Zaalarmowano wojsko, a równocześnie uderzono w dzwony na gwałt. W pół godziny później stanęło kilkaset ludzi z okolicy w gotowości do walki. Ktoś wezwał Wiktora Potockiego, aby uspokoił lud gotowy rozszarpać i roznieść na widłach nieliczną załogę pruską. Upewniony, że Prusacy strzelać nie będą, zaczął Potocki namawiać lud do rozejścia się, gdyż komendant Prusaków oświadczył, że w ciągu pół godziny opuści miasteczko. Chłopi się uspokoili i wojsko zaczęło wymarsz. Naprzeciw wojska posuwał się ku miastu mały oddział chłopów z oddalonej jakiejś wioski. Potocki podążył do nich, aby ich uprzedzić o załatwieniu sprawy. Chłopi zeszli na bok z drogi, aby pozostawić wolne przejście żołnierzom, a gdy pierwsze szeregi już ich minęły, żołnierze nagle się odwróciwszy, dali ognia do chłopów i do powracającego do miasta Potockiego. Padło kilku chłopów, Potocki z tyłu kulą trafiony, spadł z konia bez duszy, Prusacy pomaszerowali dalej, a chłopi ciężkie czynili zarzuty

tym, którzy ich do puszczenia wolno Prusaków namówili.

W Swarzędzu żydzi zadenuncyowali Polaków przed władzą wojskową, że ukrywają broń i amunicyę dla powstańców. Dnia 8-go kwietnia udał się oficer z żandarmem i 20 żołnierzami w towarzystwie motłochu szwarzędzkiego do miejscowego proboszcza.

Rewizya probostwa była bezskuteczną. Wtedy żydzi zaprowadzili oficera z żołnierzami na cmentarz, tam przetrzęśli kostnicę — nadaremnie, wreszcie otworzyli groby familijne Stefańskich i Ertlów, a i tu nic nie znalazłszy, bagnetami podziurawili wszystkie swieże groby.

Prusacy nie mieli poszanowia dla grobów, nie mieli tembardziej poszanowania dla kościołów.

W Mieściskach, również 9-tego kwietnia, zebrany na niedzielne nabożeństwo lud (była to palmowa niedziela) przerażony był słysząc odgłosy strzałów. To przybywali dragoni pruscy pod wodzą dwóch oficerów, aby zająć miasteczko.

Lud zaczął uciekać z kościoła a straż obywatelska stanęła przed kościołem. Lecz zanim zdołali się wszyscy pochować w uliczkach, dragoni dali ognia do tłumu, zebranego przed kościołem. Padł trupem sołtys z Zabiczyna, padło kilka kobiet. Zaczęto dzwonić na gwałt i lud się zbiegł na pomoc. Połączonemi siłami straży obywatelskiej i okolicznego ludu udało się odpędzić Prusaków. Cofnęli się unosząc kilku rannych.

Zdawało sie, że żadna siła nie powstrzyma już teraz wybuchu powstania ludowego. Były całe wsie, które uzbroiwszy się w kosy, wychodziły w lasy oczekując tylko odgłosu dzwonów na gwałt — aby spieszyć przeciw Prusakom.

We wsiach w pobliżu Kościana, mianowicie w Kiełczewie, w Sierakowie i innych, zaczęli chłopy na gwałt przekuwać kosy, a gdy w Kiełczewie żandarm odebrał broń jednemu gospodarzowi, porozsyłano posłańców do wsi okolicznych, a drogę z Kościana do Kiełczewa zabarykadowano. W kilka godzin później stało już w gotowości kilka set ludzi, a coraz nowe gromady przybiegały ze wsi o 2—3 mile odległych.

„*My tam o życie nie stojema, — mówili chłopi — byle te Niemce nad nami nie przewodziły.*“

Na pierwsze żądanie tych gromad uzbrojonych landrat rozkazał kosy zabrane wydać, a komitet kościański starał się ich uspokoić zapewnieniem, że gdy ich pomoc okaże się potrzebna, zostaną zawezwani.

W Poznaniu samym wzrastało wzburzenie. Ludność niemiecka podburzana przez żydów dopuszczała się rozmaitych gwałtów. Studenci, którym powierzono straż bezpieczeństwa, zostali przez żydów i Niemców pobici. Dwaj z nich, Rudziński i Koralewski ciężkie rany odnieśli. Komendant miasta, Steinäcker, kazał studentów wogóle z miasta wydalić. Chodziły wieści o katowaniu więźniów, trzymanych w fortecy poznańskiej. Willisen widział, że siedząc w Poznaniu nie wybrnie z samych reklamacyi i skarg, któremi zasypywano go z obydwóch stron. A tu Colomb groził użyciem siły.

Z pertraktacyi z komitetem zmiarkował Willisen, że w danej chwili nie w Poznaniu, lecz w obozach samych leżał punkt ciężkości sytuacyi. Jeśli obozy zechcą, to się rozejdą. Komitet się obawiał, że jego rozkaz mógłby być bezsilny.

Wreszcie w celu zawarcia umowy z wojskiem, zamierzył Willisen udać się do obozów i prosił, aby mu dla towarzystwa wyznaczono kogo z komitetowych. Towarzyszył Stefański i Libelt. Mierosławski już 8go udał się z Poznania do Środy, później zaś do Miłosławia. Umowę zawrzeć miano w Jarosławcu, wsi pod Środą położonej. Tam od dziesiątego już znajdował się Willisen. Jedenastego o 9tej rano miał być wydany rozkaz zaatakowania Środy w razie, gdyby układów nie doprowadzono do skutku.

Wiadomość o wyjeździe Willisena do obozów rozbiegła się lotem strzały po całem wojsku, obiecywano sobie, że Willisen rozpocznie teraz „organizować“ wojsko.

Tymczasem siły pruskie poposuwano ku Środzie. Wojsko pruskie — zwłaszcza landwera pomorska i śląska — pałała wściekłą żądzą „poskromienia buntowników“ i śpiewała dzikie piosneczki obozowe, obiecując sobie w nich „wytępienie doszczętne polskiego nasienia“ (Przypisy) Landwerzyści spodziewali się podobno, że otrzymają grunta po szlachcie polskiej.

Na wieść o obecności Willisena w Jarosławcu wszystkie obozy posłały do Środy swoich delegatów, aby omówić sposób zorganizowania nowej, przyrzeczonej przez króla dywizyi poznańskiej. Nadto w nocy 10go kwietnia udał się Sew. Mielżyński i Szuman do obozu wrzesińskiego, aby wybadać opinię obozów.

Jako żądania Prusaków wymieniono znaczną redukcyę siły zbrojnej i opuszczenie Środy. Na to wrzesiński korpus oficerów bardzo dwuznaczną dał odpowiedź, że kwestyami politycznemi zajmować się nie chce, a zatem komitet ma postąpić jak za trafne uważa. Taka odpowiedź ze strony obozu wrzesińskiego zdziwić nie mogła nikogo, ponieważ tam najwięcej było oficerów należących do ziemiaństwa prowincyonalnego, przekonanych, że i drogą układów, byle dobrze prowadzonych, nie mniej od Prusaka uzyskać można, co i z bronią w ręku. Oficerowie obozu w Książu, który pod pułkownikiem Budziszewskim zawsze był bez rygoru i subordynacyi, gotowi byli choćby zaraz iść do domów. Lecz trudno się było zdecydować komitetowi na złożenie broni. Konferowano z Mierosławskim i innymi oficerami, czy się może lepiej bronić. Alternatywa bowiem była: przyjąć ugodę, lub naprawdę z bronią w ręku dobijać się od Prusaków lepszych warunków. Lecz wojskowi orzekli, że zbrojny opór wątpliwe miałby skutki. Od 1-go do 11-go kwietnia Prusacy nie tracili czasu i zebrali siły, w walce z któremi można było uledz.

Poruszono też i projekt rzucenia się do Kongresówki, zdawało się jednak, że wojska pruskie z rosyjskiemi są w porozumieniu i że ten sposób złapania powstańców jak w pułapkę, byłby im najdogodniejszy.

Przyszedł nakoniec dzień 11-go kwietnia, a porozumienia jeszcze nie było. Już wojska pruskie zbliżały się pod Środę, zdawało się, że nic nie wstrzyma boju, którego Prusacy domagali się z niecierpliwemi okrzykami, kiedy jen. Willisen spowodowany nagłością chwili jeszcze raz spróbował porozumienia się. Układy prowadzili Stefański, Libelt i Anastazy Radoński, członek komitetu średzkiego, wojsko reprezentowali Mierosławski, Białoskórski, Kurnatowski i Wiktor Szołdrski. Jednym z punktów, o które się rozbijały układy, było wymagane przez Willisena opuszczenie Środy. Wreszcie po długich targach stanęło na tem, że Polacy Środę Prusakom ustąpią, a siły swe ograniczą do 4-ch obozów, mając najwyżej 600 piechoty i 120 jazdy w każdym obozie.

Willisen początkowo obstawał przy zupełnem puszczeniu ochotników do domów, lecz zaoponował temu Mierosławski, twierdząc, że wtedy Prusacy zamiast mieć Polaków w czterech obozach, będą ich mieli w rozsypce w całym kraju. Mierosławski zaś nosił się z zamiarem tylko pozornego izolowania się w obozach, utrzymywania za ich ruchomą ścianą, dobrze wyćwiczonych rezerw w całym kraju i podminowania wroga powstaniem. Mierosławski wydał później w tym duchu instrukcyę do dowódców obozów, w której nakazuje, aby dla pozoru zachowując w tak zwanych kadrach wybór zgromadzonego ludu i rynsztunku, resztę rozlokowali w obrębie powiatu; do mustry zmijali ją o ile się da z tamtym, i utrzymali pilnie w nieustannej do zboru gotowości, uważając ją jakoby kordon wartujący opodal na około swojego garnizonu.

Lecz komitet i ci dowódcy, którzy komitetu trzymać się chcieli, zdecydowawszy się raz na złożenie broni gotowi

byli przeprowadzić je konsekwentnie aż do końca. Pobudki, które skłoniły komitet do zawarcia ugody Jarosławieckiej, były różnorodne: przedewszystkiem miano pewność, że władze wojskowe istotnie dalej już zwlekać z rozpoczęciem kroków wojennych nie będą i Polaków w obozach zaatakują, — zachodziła zaś wątpliwość co do wyników tej walki. Powtóre, chciano z polityczno-idealnych pobudek uniknąć walki z Prusakami w poczuciu, że „sztandar wolności nie powinien być zbryzgany krwią narodu niemieckiego, jeśli do tego nie będziemy zmuszeni, (tak pisała „Gazeta Polska“ komentując zawarcie ugody), atoli z drugiej strony nakazywał rozsądek, nakazywało półwiekowe doświadczenie, praw tych naszych rękojmię na przyszłość mieć w jakiejkolwiek zbrojnej sile narodowej.“

Dr. K. Rakowski.

Z TYGODNIA.

W zeszłym tygodniu prasa europejska została zaalarmowana bardzo groźnie brzmiącą wieścią o nagłej mobilizacyi wojsk rosyjskich w Europie. Wiadomo było, że w Azyi Rosya gotuje coś przeciw Anglii, niespodziewano się wszakże, aby i Europa w politycznych wyliczeniach Rosyi brała jakiś udział. Naraz dowiedziano się, że kilkaset wagonów czeka pod Warszawą w gotowości do przewiezienia wojska nad pruską granicę. Zdaje się jednak, że wieść ta jest zwykłą dziennikarską kaczką, gdyż w chwili obecnej nie zachodzi pomiędzy Rosyą z jednej a Niemcami z drugiej strony, nic — coby mogło usprawiedliwiać nagłą mobilizacyą.

Wiadomo zresztą, że wojska okręgów warszawskiego, wileńskiego, kijowskiego i odeskiego ciągle są zmobilizowane i oddawna trzymane na pełnej stopie wojennej, a to bardziej ze względów na wewnętrzne położenie kraju, niż na zewnętrzną sytuacyą. Co się zaś tyczy wojsk austryackich i niemieckich, to zapewniają znawcy wojskowi, że wojska te w pięć dni po wydaniu rozkazu wymarszu stanąć mogą na granicy. Zresztą ogólna sytuacya międzynarodowa w obecnej chwili nie skłania się na korzyść Rosyi, o ile że sojusz zawarty z Francyą, ulega pewnemu oziębieniu. Niemało się do tego przyczynia zapewne obecność socyalisty w ministeryum francuskiem. Obecnie prasa paryzka, w przededniu wystawy, bardzo jest zaniepokojona projektem, z którym noszą się podobno socyaliści-demokraci, a który mógłby zaważyć na powodzeniu całej wystawy. Jak wiadomo otóż ministrem handlu jest socyalista Millerand. Wypowie on na otwarcie wystawy 15go kwietnia mowę z urzędu, jako minister handlu, a — jak zapewniają pisma socyalno-demokratyczne — wypowie on w niej entuzyastyczne zasady socyalnej demokracyi, aby wywrzeć silny wpływ na proletaryat wszystkich krajów.

Właściwie podobno prezes gabinetu Waldeck miał wygłosić mowę, ale Millerand się uparł, że jako minister handlu jest równocześnie ministrem wystawy. Demagogia przewrotowa w gorących słowach wypowiada nadzieję, że przemowa Milleranda zyska socyalnej-demokracyi przewagę w społecznych stosunkach współczesnych państw europejskich. Jest to, jak się zdaje, zapowiedź, której jedynym celem — przeszkodzenie powodzeniu wystawy.

Prawdopodobnem jest, że na czas wystawy już zakończy się wojna angielsko-boerska. Po kilku porażkach Boerów, rząd ich wystosował do angielskiego rządu propozycyą zawarcia pokoju, stawiając za jedyny warunek uznanie niepodległości Transwaalu. Rząd angielski odpowiedział na to szyderczym listem, ale podobno mocarstwa już się porozumiały, aby zbiorowo zażądać od Anglii ukończenia wojny. Prezydent Boerów w przemowie swej oznajmił, że „Boerów zmuszono do wojny, a więc zwyciężą lub zginą. Transwaal jest gotów do zawarcia pokoju. Nie mamy żadnych celów zaborczych. Żądamy tylko, aby Afrykandrów rząd angielski uważał za stronę prowadzącą wojnę, a gdy się dowiedziałem, że kilku więźniów skazano za rzekomą zdradę stanu, zatelegrafowałem do lorda Salisburego, że jeżeli Afrykandrów nie będą Anglicy traktować jako jeńców, wtedy ja się odwzajemnię na jeńcach angielskich. Salisbury odpowiedział, że jeśli jednemu angielskiemu jeńcowi włos spadnie z głowy, to rząd angielski mnie osobiście uczyni odpowiedzialnym. Prawdopodobnie ma to oznaczać, że Anglicy powiesiliby mnie w takim razie. Rząd transwaalski odpowiedział Anglikom, że gardzi ich groźbami. Nasze siły wojenne wynoszą czterdzieści tysięcy ludzi. Hasłem naszem jest wolność lub śmierć.“

Jak donoszą z Londynu, przemowa ta silne zrobiła wrażenie na Anglikach i może uczyni ich skłonniejszymi do zawarcia pokoju.

Pan minister Studt chce koniecznie zarobić sobie na laury przemówieniami w sprawie polskiej. Przed kilku dniami, na mowę X. Stychla odpowiedział znowu przemówieniem, skierowanem przeciw prasie polskiej. Zaznaczył on, że rząd nie zawiesi walki z polskością, dopóki polskie gazety nie będą zagrażać całości Niemiec. Jeżeli chciał przez to powiedzieć, że od gazet polskich zależy zgoda lub pokój — to mu odpowiemy, że istotnie: ale zgoda cmentarna, bo gdyby nie polskie gazety, toby Prusy dawno już połknęły nasze społeczeństwo. W tej więc myśli zawsze one będą biczem na pruskie dążności, czy rzecznikiem ich jest pan Studt, czy ktokolwiek inny.

Rząd nas też wcale nie przerazi, jeśli sądzi, że dokonanemi w ostatnich czasach rewizyami chciał cios zadać t. zw. agitacyi wielkopolskiej. Nasza agitacya światła się nie boi, jest jawna i oparta na konstytucyi i nieprzedawnionych nigdy prawach narodowych, a potajemnie nic nie robimy. Dziwić też może każdego, gdy się dowie, że po rewizyach u akademika Bolewskiego nastąpiła rewizya w seminaryum pelplińskiem, gdzie landrat u jednego z kleryków znalazł — aż jeden egzemplarz „Pracy.“ Jeśli się po to fatygował aż do Pelplina — to lepiej mógł sobie ten egzemplarz sprowadzić za 15 fen. z naszej administracyi, a byłby sobie oszczędził kosztów, no i.... efektu. K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Brak robotnika w polu będzie w tym roku tak wielki, że rólnicy niemieccy obawiają się najgorszych następstw. Niektóre większe i średnie dominia będą musiały wstrzymać pracę w polu, gdy zabraknie robotników, a wtedy ruina tych gospodarstw będzie nieuniknioną.

Już teraz brak robotnika jest w wielu miejscach tak dotkliwy, że trudno prowadzić gospodarstwo. Tak orzekła niemiecka rada rólnicza, która w tych dniach obradowała w Berlinie.

Pisze o tem **„Gazeta Opolska“:**

„Rada nabrała przekonania, że na gwałt trzeba wpuszczać do kraju zagranicznych robotników — z zastrzeżeniem interesów narodowych, to znaczy, że z polskimi robotnikami trzeba być ostrożnym, żeby w polskich dzielnicach nie wzmocnili żywiołu polskiego. Dalej rada jest tego zdania, że rząd nie powinien odciągać rólnictwu całych mas robotnika do robót przy kolejach żelaznych i kanałach.

„Robotnikowi po wsiach należy ułatwić stałe osiedlanie się i zezwolić, żeby mógł prowadzić także własne gospodarstwo, a więc trzymać krowę, kozę, świnie, drób, zasadzić włane kartofle, jarzyny itd. Dla dzieci szkólnych należy tak urządzić naukę po wsiach, żeby mogli w gospodarstwie i w polu pomagać.

Rada rólnicza sądzi, że dla rólnictwa nie ma innej rady, jak podwyższyć ludziom płacę i płacić im więcej, aniżeli dostają w fabrykach. W tym celu je-

dnak trzeba przeprowadzić takie traktaty handlowe z innemi krajami, żeby ceny płodów rólniczych i żywności poszły w górę. Wtedy rólnicy, dostając więcej za płody, będą mogli także robotnikowi więcej płacić.

„Rada rólnicza stwierdziła, że po średnich i drobnych gospodarstwach jeszcze gorzej jest z brakiem robotnika, aniżeli po wielkich dominiach. Wielkie dominia wyręczają się maszynami, ale średni i mniejsi gospodarze wiejscy maszyn wszędzie użyć nie mogą, i, jeżeli nie pracują własnemi dziećmi, to dziś na wygórowaną płacę robotnika wcale nie zarobią.

„Mówiono i o tem, żeby przy stałem osiedlaniu się robotnika uwzględniano potrzeby ludności, bo sprowadzenie ludzi zdaleka, nie zawsze pewnych, więcej rólnictwu szkodzi, aniżeli pomaga.“

Podczas gdy tak rozmaici profesorowie i radcy ministeryalni bardziej z teoretycznej niż z praktycznej strony roztrząsają sprawy rólnicze, rząd pruski po swojemu się stara, aby „potrzeby ludności miejscowej były uwzględnione.“ Oto wykupuje za pomocą komisyi kolonizacyjnej grunta z rąk Polaków, a rólnika polskiego wbrew konstytucyi wyklucza od nabywania ziemi,... w dodatku nawet pożądanemi przez się rezultatami poszczycić się nie może.

W „**Dzienniku Poznańskim**“ znajdujemy sprawozdanie z artykułu, ogłoszonego w tym przedmiocie w piśmie „*Das neue Jahrhundert*“:

„Autor długiej tej rozprawy znał polskie dzielnice przed laty i po długim przeciągu czasu zawitał w nasze strony, prawdopodobnie dlatego, aby przekonać się, jakie dokonały się zmiany i aby uwagi swoje złożyć w zmiankowanym tygodniku niemieckim. Pracę swoją zaopatrzył w ilustracye pojedyńczych kolonii, zborów, rynków i ulic, a że w niej ciekawe i oryginalne nieraz wyraża poglądy, przeto warto zapoznać się bliżej z jego elaboratem.

„Ucieszyło go nasamprzód to, że język niemiecki zrobił u nas takie postępy. Wszędzie go słychać, wszędzie i z każdym można porozumieć się po niemiecku, najtrudniej z... kolonistami, którzy używają dyalektów swoich okolic rodzinnych. Najpoprawniejszą niemczyzną mówią — zdaniem jego — Polacy, o których powiada dalej: „Wprawdzie między sobą mówią Polacy zawsze po polsku i niepojętą jest rzeczą, jak nawet panowie od zielonego stołu mogą wierzyć w to, że to — po stuleciach, jeśli to nastąpi kiedykolwiek może być inaczej.„

„Autor konstatuje, że Polacy nie zapierają się nigdy znajomości języka niemieckiego i że umieją cenić pożytek tej znajomości. Natomiast niemieccy kupcy, adwokaci i t. d. widzą sie często zmuszonymi do przyjmowania Polaków, ponieważ oni władają obydwoma językami krajowemi. Jeden z adwokatów niemieckich w Poznaniu atoli skarżył się autorowi, że od czasu nowej ery w polityce pruskiej w obec Polaków stają się polscy przewodniczący biur adwokackich fanatycznymi agitatorami, pisują często po polsku do klientów niemieckich (!) i agitują wśród polskich klientów. Za wielką zasługę około Niemiec poczytuje p Klausner to, że Polacy muszą się uczyć po niemiecku. „Rząd pruski — powiada on — wynagradza przez to dobrodziejstwo w części Polaków za wyrządzoną im krzywdę, którą — jakkolwiek może była potrzebna z biegiem rzeczy — odczuwają oni bardzo boleśnie. Ale przewrotnem jest poczytywać Niemcom używanie języka polskiego wprost za zbrodnię, karanie polskich nauczycieli za to, jeżeli w swym domu mówią po polsku, albo dymisyonowanie niższych urzędników niemieckich za to, gdy pozwalają, aby ich dzieci mówiły po polsku.“

O kolonizacyjnej komisyi pisze wreszcie autor zaprzeczając jej wartości dla sprawy niemieckiej i stwierdzając jej protestantyzujące wpływy.

Dziwna rzecz doprawdy! „Ilekroć“ gazeta polska w tym sensie coś opartego na bezpośredniej prawdzie napisze, tyle razy znajdzie się jakiś minister pruski, gotów do oskarżania jej o tendencyjność, dążenie do rozerwania Niemiec i inne „straszne rzeczy“ istniejące w imaginacyi ministeryalnej, — ale ilekroć wystąpi kto z Niemców z podobnemi poglądami, to zawsze pan minister tej gazety nie czytał.

Wogóle pohopność do oskarżania gazet polskich doszła u sfer miarodajnych do ostatecznych granic. Zdarzył się np. fakt, że starożytną nazwę „*Sianowo*“ w Prusach Zachodnich zmienił rząd na *Schwanau*.

Mieszkańcy zaprotestowali i o narzuconej nazwie nie chcą wiedzieć Znalazł się więc zaraz jakiś „znawca“ stosunków, który opozycyę tę przypisał — — — agitacyi gazet polskich.

Idąc tą logiką, trzebaby chyba za agitacyę gazet polskich uznać, gdy np. Polak, któremu zbój Niemiec chce wydrzeć portmonetkę, broni swej własności.

O sprawie „Sianowa“ następujące informacye znajdujemy w „**Gazecie Gdańskiej**:“

„Szowiniści wietrzą więc na wszystkie strony za domniemanymi agitatorami, na którychby winę zwalić można, i wnet znalazłszy kozła ofiarnego wołają: lud polski ze wszystkiego zadowolony, wszystkoby z wdzięcznością przyjął, — gdyby nie propaganda polska, gdyby nie pisma polskie! — Ot i teraz zmiana nazwy „Sianowo“ w pow. kartuzkim na niemieckie „Schwanau“ spowodowała jakiegoś zacietrzewionego szowinistę do ostrego wystąpienia w gdańskim organie hakaty, „Danz. Allg. Ztg.“, przeciwko urojonej „propagandzie polskiej“. Wymienione pismo, mające styczność z kołami urzędowemi, powinno było wiedzieć przynajmniej, jak rzeczy stoją i że, król. regencya w Gdańsku w końcu r. 1898 rozstrzygnęła, iż aż do dalszego nazwa wzmiankowanej miejscowości ma brzmieć „Sianowo“ a nie „Schwanau“. Królewskiej regencyi nikt chyba nie posądzi, iż li tylko z uprzejmości dla Polaków nakazała taką pisownię. Gdański organ hakaty atoli, przewracając kota w miechu, wpadł na koncept, że niechęć ku niemieckiej nazwie "Schwanau“ jest niczem więcej, jak owocem polskiej propagandy, szerzonej przez jednostki, a mianowicie przez pisma polskie. — Masz babo placek! Gazety polskie wyrzekły czarodziejskie słowa zaklęcia: hokus, pokus, — a „niewdzięczni“ mieszkańcy Sianowa, zapominając o „niemieckich dobrodziejstwach“, dali się uwieść na lep i domagają się teraz gwałtem, aby staropolską nazwę swej miejscowości zachować.

„Co się dzieje? — woła z głupia frant zaperzony korespondent „Danz. Allg. Ztg.“ — podczas kiedy przed 10 laty w tych stronach zaledwie słyszano o polskiej gazecie, — obecnie pełno ich wszędzie; nie ma chaty ani pustkowia, gdzieby się nie znalazło gazety; czy ci pojedyńczy ludzie gazetę czytają i czy takową rozumieją, to jest rzeczą poboczną. Wielu z tych ludzi nie posiada grosza na sól lub śledzia, lecz gazetę muszą trzymać. Co najciekawsza, że gazety te rozchodzą się przeważnie z niemieckich miast Gdańska, Torunia i Grudziądza, stanowią podporę niemczyzny. To daje wiele do myślenia!“

Gdyby hakatyści i ich protektorzy ministeryalni chcieli w istocie myśleć, bardziej by im pewnie „dało do myślenia“, że wskutek ich właśnie agitacyi budzi się w ludzie polskim nieznane dotychczas przywiązanie do sprawy polskiej i niechęć ku rządowi. Ta niechęć ku rządowi nie płynie z gazet polskich, ale jest zaczerpnięta z głębszego źródła, które nie wysycha, — z poczucia nierówności obywatelskiej, z poczucia upośledzania Polaków na każdym kroku.

W kwestyi żydowskiej u nas bardzo trafne zdania wypowiada gnieźnieński „**Lech**“, zwracając uwagę na zatrważający wzrost wpływów żydowskich, z reguły wrogich Polakom:

„Nie masz kraju, gdzieby żydzi tak dokazywali i z takim cynizmem występowali przeciwko Polakom, jak u nas pod zaborem pruskim. Chociaż żydów w Księstwie jest tylko 41,700 na milion ośmkroćstotysięcy mieszkańców, potrafili jednakże w wszystkich miastach opanować rady miejskie, wcisnęli się do magistratów, wybierają burmistrzów albo ochrzconych żydów, albo filosemitów i gospodarują po miastach jak w własnym kraju.

„Powodem wzrostu tej niezmiernej potęgi żydow jest walka norodowościowa, jaką rząd przeciwko nam Polakom prowadzi. Łacińskie przysłowie mówi: duobus litigantibus tertius gaudet, tj. jak dwóch ze sobą spór prowadzi, to trzeci się cieszy. Tym śmiejącym się trzecim wobec walki jaką rząd pruski wypowiedział ludności polskiej są żydzi. Niemcy żydów właśnie w Księstwie najwięcej potrzebują, a że Niemcy mają rząd w ręku, więc żyd garnie się do nich; żyda nie brakuje przy żadnej niemieckiej uroczystości, żyd pcha się na pierwsze miejsce przy poświęcaniu rozmaitych pomników niemieckich po naszych miastach i miasteczkach, choćby to był pomnik Bismarcka, największego antysemity, i w krzykliwy i starający się zwrócić na siebie uwagę sposób, stara się objawiać swój udawany patryotyzm niemiecki.

„To ciągnienie gwałtowne żydów do niemczyzny jest dla nas i tak już zewsząd uciskanych objawem zatrważającym. Nie należy nam zamykać oczu na grożące nam ze strony żydów niebezpieczeństwo, i trzeba zerwać z tradycyonalną czułostkowością i raz na zawsze zrozumieć, że nie tylko rządy zaborcze są

nam nieprzyjaźnie usposobione, ale że w żydach mamy równie gwałtownego, nieprzejednanego wroga. Nie zapominajmy, że istotne masy żydostwa gnieżdżą się wyłącznie na ziemiach słowiańskich.“

Zwłaszcza w handlu i w przemyśle przewaga żydów jest zastraszającą. Powinno to być pobudką dla każdego Polaka, aby o ile możności stosunków, na których najczęściej żyd zarabia, z tym żywiołem unikał i aby swoich tylko popierał.

Po gazetach naszych i niemieckich pokutuje obecnie wieść o rapperswylskim skarbie narodowym i Niemcy radziby wmówić w rząd i w siebie samych, że w Poznańskiem prowadzono ożywioną agitacyę na rzecz tego skarbu.

„Orędownik“, którego trafne osądzenie odezwy ligi narodowej podnosiliśmy z uznaniem, wyrwał się na temat skarbu narodowego z następującym artykulikiem:

„Skarb narodowy — szwajcarski zawraca widocznie niektórym ludziom w głowie. Trafiają się między nami ludzie, którzy, zdaje się, swej polskiej myśli i swej miłości do polskości inaczej wyłożyć nie potrafią, jak tylko przez zbieranie groszy na Skarb w Szwajcaryi.

„Donoszą nam z po za granicy Księztwa, że pewna osobistość już w średnim wieku dokładnie obeznana z położeniem naszem, zaczęła się naraz zajmować zbieraniem pieniędzy na skarb. Gdyby to jeszcze czyniła w kołach ludzi równego wykształcenia, w kołach swoich znajomych, to jeszcze, ale to dla niej za małe pole działania; więc się przysunęła do klasy robotników i to jeszcze związanych w stowarzyszenia. Trzeba było energicznego wystąpienia przeciwko temu ze strony innych osób, ażeby ową osobistość powstrzymać od nadużywania dobrej wiary i kieszeni robotnika polskiego.

„Za ludzi z usposobienia w polityce narwanych społeczeństwo nasze odpowiadać nie może, jak Niemcy też nie odpowiadają za swoich narwańców, których u nich nie brak.“

My zaś „Orędownikowi“ zwrócimy uwagę, że choćby u nas tacy „narwańcy“ byli — to jeszcze nie powód, aby nimi się czemprędzej publicznie chwalić. Milczenie jest złotem — powiedział mędrzec grecki.

Najlepszym skarbem narodowym naszym jest oświata ludu. W tej sprawie słusznie pisze **„Wielkopolanin“**:

„Niechaj przez oświatę, trzeźwość i oszczędność u ludu naszego dobrobyt się wzmoże jak u naszych braci Czechów, w takim razie będziemy silnymi i potężnymi jak oni, a polakożercy nas nie zgnębią.

„Jeżeli zaś oświata, trzeźwość, oszczędność i miłość do ziemi ojczystej nie zapanują w każdej chacie polskiej, w takim razie naród polski zginąć musi, a temu nie przeszkodzi Skarb narodowy w Rapperswylu.

B. M.

Dział społeczno-ekonomiczny.

Rozwój techniki w dziewiętnastem stuleciu.*)

IV.

Do zrozumienia omawiania dalszego rozwoju techniki w rozmaitych jej działach koniecznem jest zaznajomienie się z tą siłą przyrody, która zwłaszcza w nowszych czasach coraz to większą wolę w życiu jednostki odgrywa, i która w specyalny sposób koniec wieku XIX piętnuje — z elektrycznością.

Wobec ważności tej siły, która umożliwia nam porozumiewać się ustnie i piśmiennie w mgnieniu oka na najdalsze odległości, która daje nam najpiękniejsze światło, zastósowana zaś w celach motorycznych na każdem polu jaknajlepsze oddaje usługi, — wypada nam trochę dłużej i dokładniej zastanowić się nad jej istotą i pożytecznością.

Rozwinięcie wszelkich teoryi i tłomaczeń zjawisk elektrycznych, oraz ewolucyi jej zastósowań w sposób chronologiczny dane, przekraczałoby granicę naszych pogadanek. Zapytamy się jedynie, *czem jest* w pierwszej linii elektryczność, następnie: *w jaki wytwarza się* ją sposób — stósownie do najrozmaitszych celów — a w końcu: jakie są *pola i rodzaje* jej *zastósowania* — obecnie.

Daty historyczne najważniejsze postaramy się o ile możności podczas omawiania tych trzech pytań podać.

Pytanie co do samej istoty siły elektrycznej od dawnych czasów zajmowało umysły badaczów; najprostsze i najważniejsze to na pozór pytanie w rzeczy samej nadzwyczaj jest trudnem.
Zostało ono w prawie wyczerpujący sposób dopiero w nowszym czasie rozwiązanem w sposób jedynie teoretyczny przez James Clerk Maxwell'a, na drodze eksperymentu zaś przez Henryka Hert'za, r. 1886.

Jeżeli rzucimy kamień w spokojną wodę, zauważymy na około miejsca, w którem zatonął, tworzące się pierścienie, które po czasie znikają. Przez zakłócenie spokoju cząsteczek wody uderzeniem kamienia wytworzyliśmy ich wahanie, udzielające się coraz to dalszym cząstkom; wahanie to nazywamy *falowaniem*. Im gęstszym jest płyn lub wogóle medyum, w którem wywołamy falowanie, tem wolniej cząsteczki poruszać się będą; w środkach (medyach) zaś bardzo lekkich i ruchliwych możemy nadzwyczaj szybkie falowanie otrzymać.

Ogólnie obecnie przypuszczają badacze, że istnieje środek (medyum) o nieskończonej lekkości i ruchliwości, zapełniające cały wszechświat. Siły fizyczne, jak ciepło i światło, są objawem falowania tego środka, *eterem* zwanego; różnią się jedynie szybkością falowania i długościami fal.

Otóż, dzięki pracom Maxwell'a i Hertz'a możemy dzisiaj z wielką pewnością przypuszczać, że elektryczność również jest jedynie objawem falowania eteru, tak, jak głos, uszu naszych dochodzący, jest objawem falowania powietrza jako ośrodka.

Fale elektryczne posiadają znacznie większą długość od fal światła i ciepła, trwanie ich zaś jest niezmiernie krótkiem.

Chyżość elektrycznej siły wynosi mniej więcej 300,000 kilometrów na sekundę.

Bliższe i dokładniejsze zapoznanie się z istotą elektryczności jako objawem falowania eteru wymaga znacznych zasobów wiadomości matematycznych, przekracza więc granice, jakie zakreśliliśmy sobie przy omawianiu kwestyi rozwoju techniki; jest ono także ze względów jedynie praktycznych mniej dla techniki ważnem.

Odpowiedź na drugą kwestyą sposobów wytwarzania elektryczności w rozmaitych celach da się sformułować w sposób dostępniejszy i więcej może interesujący.

Do celów mniejszych ogólnem jest wytwarzanie elektrycznego prądu za pomocą chemicznego procesu.

Wszelkie procesy chemiczne, jak np. rozpuszczanie kruszców w ostrych kwasach, powodują wytworzenie prądu elektrycznego, płynącego pomiędzy działającemi na siebie substancyami.

Wiadomem jest, że kruszce i węgiel są dobremi przewodnikami elektryczności, szkło, guma, siarka, porcelana, i t. p. zaś izolatorami — (nie przewodzącemi elektryczność).

Jeżeli wstawimy w naczynie z kwasem np. siarkowym płytę kruszcu rozpuszczalnego w tymże, otrzymamy naprężenie elektryczne pomiędzy kruszcem a kwasem.

Wystarczy wstawić w kwas inny przewodnik, na którego chemicznie nie działa, np. węgiel lub platynę, ażeby otrzymać w drucie węgiel z cynkiem łączącym prąd elektryczny.

Przyrząd opisany tutaj w zasadzie nazywamy *ogniwem* galwanicznem podług lekarza Galwani'ego, który r. 1789go wytwarzanie prądu za pomocą oddziałania chemicznego ciał na siebie zauważył.

---

*) (Sprostowanie). W ostatnim artykule zaszła wskutek niedopatrzenia się pomyłka, którą po wydrukowaniu zauważyliśmy.

Odpowiednie miejsce miało brzmieć:

Zwykła lokomotywa do pociągów towarowych waży obecnie około 80 ton, czyli 1600 centnarów i t. d.

Lokomotywa do pociągów pospiesznych waży circa 68 ton czyli 1360 centnarów.....

Przyp. Red.

Ogniw galwanicznych („elementów“) używa się do telegrafii, do dzwonków domowych, i t. p. zastósowań. Odgrywają one obecnie rolę podrzędną, chociaż w ciągu lat znakomitych doznały ulepszeń.

Prąd elektryczny, który może być wywołanym chemicznym procesem, wywołuje na przemian także zmianę chemiczną w ciałach, zmianie podlegających. Można więc wytworzyć prądem elektrycznym proces chemiczny, który jest w stanie nowy prąd elektryczny wywołać.

Jeżeli wstawimy np. w naszyniu z kwasem siarkowym dwie płyty ołowiane i przepuścimy przez nie prąd elektryczny, wywołamy po pewnym czasie w przyrządzie tym chemiczny proces, którego skutkiem jest wytworzenie naprężenia elektrycznego.

Płyty ołowiane będą w stanie wydać ze siebie prąd; będzie on odpowiadał w całości prądowi, który był potrzebnym do wytworzenia procesu chemicznego.

Zakreślona tu zasada znalazła nadzwyczaj ważne zastósowanie w zbieraczach elektryczności, tak zw. „akumulatorach.“

Zbudowane podług naszkicowanej zasady te zbieracze służą obecnie bardzo często do przechowywania elektryczności, do przewożenia jej, i t. d.

Znajdują one we wielkich rozmiarach zastósowanie do oświetlania miejsc nocą, jeżeli wytwarzanie pierwotnego prądu jedynie za dnia może mieć miejsce, do pędzenia tramwai elektrycznych i t. p.

Najważniejszym sposobem wytwarzania elektryczności we wielkiej ilości jest zamiana pracy mechanicznej, jakiej dostarcza n. p. motor parowy, na elektryczność w t. zw. maszynach dynamicznych.

Zasadę tychże w najgłówniejszych zarysach w przyszłym wyłuszczymy artykule. *W. S.*

O stolarstwie artystycznem
i jego nowoczesnych zadaniach.

Napisał
T. Filipowicz.

III.

Stolarz powinien zalecać publiczności wyroby ręczne, a publiczność powinna oceniać je należycie i protegować jako dające sposobność wyrażenia *indywidualności i zdolności* pracownika.

Przytaczamy tu słowa znakomitego Ruskina: „Ludzie mogą zamienić się w maszyny i pracę swoją obniżyć do poziomu pracy maszyny, lecz o ile tylko pozostają *ludźmi*, wkładają *duszę w to*, co robią, a jeżeli pracują *wedle sił* swoich, nic to nie znaczy, że są słabymi robotnikami. W robocie ich będzie *coś, co nie ma ceny;* będzie się widziało, że w tem oto miejscu przykładało się więcej niż w innem, że ten kawałek zrobiony pospiesznie, niestarannie, lecz *całość roboty*, porównana z robotą na maszynie, wypadnie tak, jak dobrze odczytane i głęboko odczute wiersze w porównaniu do wierszy wygłoszonych przez papugę“.

Ponieważ nasze stolarstwo pod zaborem puskim opiera się tak bardzo o niemieckie, a nasz rzemieślnik postępowy kształci się w szkołach przemysłowych niemieckich, pomówimy obszerniej o ruchu na tem polu w Niemczech czerpiąc wiele danych z odczytu prof. Jessen'a z Berlińskiego „Kunstgewerbe Museum.“ Wpierw jednak wspomnimy o ruchu naszym *polskim przemysłowym w Galicyi.*

W niektórych gałęziach przemysłu już wiele zdziałano, o czem mieliśmy sposobność przekonania się naocznie na wystawie lwowskiej. Przemysł ten trzyma się motywów *swojskich ludowych* w rysunku haftów, tkaninach itd. Mamy w Galicyi szkoły koszykarskie, koronkarskie, snycerstwa i rzeźby i inne. Słyszymy i o *stylu zakopiańskim* w budowie mieszkań. Na wystawie jednak lwowskiej stolarstwo nasze nowego stylu rodzimego nie wykazało jeszcze.

Malarz nasz, Stanisław *Witkiewicz*, przebywający stale w Zakopanem już przed kilkunastu laty pierwszy zwrócił uwagę na to, że tamtejsi górale mają styl swój odrębny *ornamentacyjny*. Odkąd Zakopane weszło w „modę“, zwracano na to uwagę baczniejszą w sprawie *stylu zakopiańskiego*, kóry jedni przeceniają a drudzy lekceważą, powiemy tylko, że ornamentyka jest piękna, a sama ona jednak nie tworzy cech stylu meblowego — chodzi jeszcze o celowość, konsekwencyą, budowę harmonijną, kształty itd.

Wiele obiecują meble zakopiańskie *Wojciecha Brzegi*, górala, rodem z Zakopanego, który jest jednym z najzdolniejszych artystów naszych, zupełnie samorodny i nadzwyczaj oryginalny kształcił on się początkowo w szkole snycerskiej w Zakopanem, pracował następnie u rzeźbiarzy w Cieszynie, Lwowie i Krakowie, doskonaląc się w technice swej sztuki. W r. 1895 otrzymał na konkursie warszawskiego Towarzystwa sztuk pięknych nagrodę za głowę Sabały, rzeźbioną w drzewie. Wstąpił potem do krakowskiej szkoły sztuk pięknych, później przeniósł się do Monachium a obecnie kształci się w Paryżu!

Ruch na polu stolarstwa niemieckiego panuje od 1870 roku. Działalność twórcza opierała się głównie o *renesans* niemiecki. Przy tem naśladowaniu popełniono błąd bardzo wielki, bo zamiast wniknąć w istotę rzeczy, pochwycić jądro, zadowalano się odtwarzaniem kształtów zewnętrznych lub ich przerabianiem a przesadzano głównie w ornamentacyi.

Dlaczego w ciągu tego 30 letniego ruchu nie wytworzył się żaden styl nowy a *dawniejsze* czasy *stworzyły style* właściwe sobie? Otóż była dawniej *tradycya rzemiosła*. Technika przechodziła od mistrza na ucznia. Uczący miał czas wżycia się w formy stylowe. Znał dokładnie materyał, którym rozporządzał, nie pojawiały się co raz to nowe maszyny, coraz to nowe materyały.

W Niemczech w przeciągu tych lat 30 następowało po sobie 45 odmian stylowych. Styl dawniejszy trwał niekiedy przez kilka generacyi.

Rokoko n. p. przetrwało trzy pokolenia.

Renesans niemiecki trwał nawet przez cztery generacye, zanim przeszedł w fazę renesansu późniejszego.

Ztąd owa konsekwencya, ztąd owe pojedyńcze kształty, zastosowane do materyału, ztąd owa celowość i dlatego wracamy zawsze do owych wzorów dawniejszego przemysłu. Zaletą ich krótko mówiąc, konsekwencya wewnętrzna i połączenie wszystkich przytoczonych wyżej prawideł.

Jeżeli w naszym czasie naśladujemy stare wzory, to je musimy do dzisiejszych wymagań, do dzisiejszego materyału, do dzisiejszych narzędzi zastosować. O tyle się pogłębiło nasze studyum.

Stolarz powinien korzystać z każdej okazyi studyowania mebli dawnych epok po muzeach przemysłowych, oglądać uważnie ryciny mebli wyłożone w bibliotekach i tutejszych instytucyach jak „Baugewerkschule“ nietylko z ubiegłych czasów, ale i z obecnej chwili tak, mebli krajowych, jak i zagranicznych, zwiedzać wystawy, o ile mu się sposobność nadarzy. Wyrobi on sobie nietylko smak, patrząc na takie piękne meble, odkryje zalety, jakie je cechują, ale nauczy się także wnikać w istotę i dostrzeże w nich urzeczywistnienie prawideł, jakiemi się kierował mistrz, tworząc swe dzieło. Pozna tam rzemieślnik i zadanie architektoniczne — i tak odnajdzie łącznik pomiędzy rzemiosłem a sztuką.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kalendarz robót na Kwiecień.

Rolnictwo. Kwiecień jest najważniejszą porą do wysiewu. Przedewszystkiem siać należy: owies, żyto latowe, jęczmień, wszelkie zboża strączkowe, cukrowe buraki, rzep latowy, mieszaninę i koniczynę.

Jeżeli żyto, zasiane jesienią, jest za

gęste, należy je lekkiem zbronowaniem zabezpieczyć od pokładania się późniejszego, licho stojące zaś wysiewy jesienne namierzwić z wierzchu. W tym celu używa się dobrego kompostu, mąki kościanej, superfosfatu, guano i t. p. Na koniczynę najlepszy jest gips.

Łąki trzeba nawodniać, ale tylko najwyżej przez 2—3 dni, poczem woda powinna być znowu spuszczoną.

W chmielniku poluźnić ostrożnie ziemię, obcinać gałązki i mierzwić rolę. Obcinanie musi być tak wykonane, aby tylko 3—4 najmocniejszych pędów zostało.

Tabaka. Inspekta, w których się młode flance tabaki hodują, muszą być starannie oczyszczone z zielska i przewietrzane, flance bowiem powinny się przyzwyczaić do powietrza.

Bydło. *W oborze* zaczyna się przejście od suchej paszy do zielonej, mieszaniną lucerny i t. p. Trzeba zachować przytem nadzwyczajną ostrożność, aby zmiana ta nie była zbyt nagłą. *W stajni* przybywają źrebięta, należy więc starannie doglądać klaczy i źrebiąt, a przedewszystkiem uważać na to, aby klaczy nie używać prędzej do roboty, zanim zupełnych sił nie odzyskają. Trwa to zwykle 2—3 tygodni.

Prosięta należy teraz odsadzać, te zaś, które mają być przeznaczone do chowu, muszą być starannie pielęgnowane. *Owce* klasyfikować, stare zaopatrzyć stemplem i przeznaczyć do zabicia na jesień.

Koźlęta wypuszczać przy pięknej pogodzie raz po raz na łąkę, aby się przyzwyczaiły do skubania młodej trawki. Zielonej paszy dawać im tak samo jak i młodym *królikom* w bardzo małych początkowych porcyach. Czyszczenie chlewów jest konieczne.

Drób. W kwietniu lęgą się gęsi, kaczki, kury i indyki. Najgłówniejszym warunkiem dobrego rezultatu jest czystość gniazd i staranne pielęgnowanie wylęgłych kurcząt i t. d. Pożywienie drobiu musi być teraz bardzo obfite i dobre, strzedz go również należy przed wilgocią i drapieżnemi kunami, szczurami i t. p., kury powinny dostawać młodej trawy albo koniczyny. Kaczęta w pierwszych zaraz dniach wypuścić na wodę. *Kanarki* też już wylęgły, a jeżeli stare kanarki gryzą wypierzone młode, w takim razie trzeba wsadzić młode do innej klatki i uczyć je jeść.

Ogród. *Warzywo.* I w ogrodzie rozpoczyna się w Kwietniu wysiew jarzyn i warzywa. Wszystkie roboty, które w Marcu nie zostały ukończone, muszą być w pierwszej połowie miesiąca wykonane. Na zagony siać wszelkiego rodzaju jarzyny, mianowicie późną modrą i białą kapustę, olbrzymią galarepę, ćwikłę i kalafiory, oprócz tego czerwone i cukrowe buraki, rzodkiew, redyski, szpinak i sałatę. Flance jarzyn przesadzać z inspektów na zagony, w inspektach zaś sadzić flance ogórków i melonów. Te ogórki i dynie, które w Maju mają być sadzone na zagonach, siać teraz w doniczki. Przygotować też zagony pod chrzan i szparagi. W inspektach obsiewać próżne zagonki, podlewać i przewietrzać je starannie. *Owoc.* Kwiecień najlepszą jest porą na uszlachetnienie, okulizowanie, oczkowanie i t. d. drzew owocowych. Trzeba też sadzić rozmaite pestki owocowe i przesadzać zeszłoroczne flance. Jeżeli powietrze zbyt suche, należy podlewać mocno świeżo przesadzone drzewka i krzewy agrestu, malin i t. p. Aprykozy i brzoskwinie obcinać, bo teraz można już rozróżnić kwicie od drzewiastych gałązek. Jeżeli zimno, okrywać je na noc słomą lub chustkami. Aż do połowy zniszczyć wszystkie gniazda gąsienic na gałęziach i przywięzywać drzewka szpalerowe. *Kwiaty.* Trawniki przedewszystkiem powinny być zmiatane i krzewy wszelkie okopane, co właściwie jednak powinno już być zrobionem w Marcu. Bukszpan, otaczający klomby, uzupełnionym być musi.

Rabaty przeznaczone dla kwiatów, należy zapełniać auryklami, myosotisem, silenami, bratkami, prymulkami i t. p. Dzikie wino, clematis przywięzywać i obcinać. Rośliny jak n. p. wawrzyny, ewonimusy i t. p. wystawić do ogrodu, wszelkie zaś kwiaty cebulowe, jak gladiole, mirabilis, dalje, hyacynty i t. p. flancować na zagony.

Pszczoły. Tak zwana rewizya wiosenna powinna już być ukończoną, jeżeli zaś nie odbyto jej dotychczas, to teraz trzeba się czemprędzej nią zająć i zważać głównie na zaród, siłę roju i matki. Roje bez matki są zwykle bardzo słabe, jeżeli można, dać mu matkę, jeżeli jednak jest już za słaby, w takim razie złączyć go z innym. Starać się też o pomnożenie zarodu, aby, gdy pszczoły rozpoczną zbieranie miodu, było ich jak najwięcej. W tym celu dawać pszczołom w Kwietniu, jeżeli pogoda sprzyja, pożywienia rozdrażniającego, naczynia jednak, w których im się żywność podaje, trzeba codziennie rano zabierać, aby zmniejszyć chęć do walczenia. W Kwietniu zbierają pszczoły miód z kwicia: brzoskwiń, aprykoz, agrestu, świętojanek, wierzbiny, topoli, wiązu, jesionu, klonu i brzozy.

Sigma.

Na pobojowisku.

Ustała bitwa — umilkły armaty,
Dym wzbił się w górę — wróg pierzchnął w nieładzie,
Sława odziana w krwi ciepłej szkarłaty
Na bohaterów czoła laury kładzie.
I z tysiąc piersi okrzyk w niebo bije:
Zwycięztwo nasze! — Hurra! — Wódz niech żyje!

Tysiące trupów i rannych tysiące
Wśród szczątków broni leżą na poboju...
Błękit bez chmurki, na niebiosach słońce
W majestatycznym spogląda spokoju —
Wiosenny wietrzyk wieje od zachodu
Pełen zapachu żywicy i chłodu.

Cisza... Czasami jaki jęk stłumiony...
Doleci, skrzypną ambulansu koła,
Zabrzęknie bronią patrol oddalony,
I znowu cisza panuje dokoła —
Tylko słowika, co w pobliskim lesie
Skrył się przed bitwą, wiatr piosenkę niesie.

Słońca promienie, wietrzyk, śpiew słowika,
Światła, zapachów i tonów kaskada
Łączy się z sobą, pochwyca, przenika
I na ciernisko krwawe śmierci pada.
Wobec tych trupów, tych rannych, mój Boże!
Jak wietrzyk śmiać się, słowik śpiewać może?

Pod nikłym krzakiem, wśród trupów gromady,
Obok lawety młody żołnierz leży,
Oczy otwarte ma, śmiertelnie blady —
Wielkie czerwone plamy na odzieży...
Z piersi mu struga purpurowa płynie,
Po trawie sączy się, i w ziemi ginie.

Przycichłym głosem ranny jęknął: „Matko!“
O matko moja wzięli mię od ciebie!
Jak ty przed pustą będziesz płakać chatką,
Gdy o mym krwawym dowiesz się pogrzebie —
I siwe włoski targać będziesz z głowy!...“
W tem silniej wietrzyk zaszumiał majowy.

„Kto Zosi kwiatki co ranka przyniesie,
Kto wieczór piosnkę do snu jej zanuci?
Upior mój chyba usiadłszy na strzesie
Skon jej objawi, i spokój zakłóci,
I wróci znowu spocząć pod mogiłą!“
Na niebie słońce silniej zaświeciło.

„O Boże! Czemu mi każesz umierać?
Niech jeszcze matkę, niech Zosię popieszczę!
Jam siał dopiero... owoce daj zbierać!
Jeszczem tak młody... O dozwól żyć jeszcze
A będę imię twe chwalił radośnie!“
W odpowiedź słowik zakwilił rozgłośnie.

Tchu mu zabrakło, opadła mu głowa,
Jęknął: „Ratujcie!—Kropelkę choć wody!“
Bez echa w polu przebrzmiały te słowa
I skonał szepcząc: „Jam jeszcze tak młody!“
Zwycięztwo nasze! hurra! Wódz niech żyje!

B. Czerwieński.

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

I.

„Jutro syn chłopa i dziecię senatorskie stanąć mają zarówno w usiłowaniach jednych“, powiedziała Konstancya do Stanisława.

To „jutro“ miało nadejść niebawem....

Nie upłynęło półrocze od opisanych w pierwszej części tej powieści wypadków, a już w znacznej części Polski zabrzmiały hasła wojenne. Młodzież uzbrojona w kosy i dubeltówki myśliwskie, częstokroć nieuzbrojona wcale, stanęła do walki z armią zbrojną w karabiny dalekonośne i armaty. Zapał i wiara w siebie miały się zetrzeć z przemocą materyalnej siły.

A ci którzy pamiętali przeszłość, mówili:

— Oto już kilkanaście lat ubiegło od ostatniej ruchawki, nowe pokolenie dorosło i przyszedł na nie czas tego obrządku, który od ojców i od dziadów wypełniany tak święcie, a tak nieszczęśliwie!

I nazywali ten obowiązek „chrztem krwawym“, „chrztem polskim,“ sakramentem poświęcenia, przez który każda nowa generacya Polaków wchodzi do kościoła Ojczyzny.

Dzisiaj zmieniły się pojęcia i mamy wielu, którzy w obec niedorosłego jeszcze pokolenia, co chrztu takiego nie odbyło, nie wahają się temu wybuchowi dawać innego nazwiska.

* * *

„Syn chłopa“ i „dziecię senatorskie“ stanęli tedy wspólnie w obronie najdroższych ideałów — w obronie Ojczyzny Niestety były też wyjątki. I gdyby tylko „dzieci senatorskie“ były wyjątkami, jak ów spokrewniony z carską rodziną, a wychowany w szkole paziów i na dworze carskim bohater, dziedzic nazwiska, które „wdzięczny monarcha“ wyryć rozkazał na pomniku na placu Saskim w Warszawie wzniesionym, jeszcze by się bez nich wojna obeszła, gdyby jednocześnie nie byli także wyjątkami „synowie chłopów“, tacy jak ów Stanisław Wydra, bohater naszej powieści....

Tylko szlachta i mieszczanie byli gotowi do wszelkich poświęceń, do poświęceń mienia i życia. Że nie wszyscy „synowie senatorscy“ wyruszyli na plac boju w początkach 1863 roku, żywym tego dowodem był pan Artur Ketteler, były kamerjunker petersburski.

Zastajemy go w Łaszczyńcach, gdzieśmy go pozostawili. Nie zmienił się on wcale od czasu łaszczynieckiego zjazdu, pobladł tylko trochę w swoich opiniach.

Wypadki w swoim szybkim przebiegu nie pozwoliły wiernie dotrzymać aż do końca politycznego programu, jaki sobie wówczas nakreślili ojciec i syn. Gdyby były kamerjunker chciał się ciągle utrzymać w opinii najzapaleńszego między zapalonymi, mogłoby go to zaprowadzić dalej niż chciał, więc musiał blednąć dyplomatycznie. Podobnież ojciec nie mógł pozostać bezwzględnym zwolennikiem teoryi wyczekiwania, bo kraj już czekać przestał i za broń chwycił. Musiał więc pan markiz poczerwienieć trochę, tak że się co do zewnętrznej swojej barwy musieli zrównać z sobą obydwaj, na wewnątrz tylko nic się nie zmieniło, byli jak dawniej jednakowi.

Obydwaj w duchu przeklinali wybuch, głośno starając się tak postępować, aby ich nie pomówiono, że się od solidarności z nim wyłamują, obu głównem usiłowaniem było pozostać w zgodzie z rządem widomym i tajemnym, bo się jednego i drugiego obawiali zarówno....

— Cały nasz rozum stanu, — mówił nieraz pan markiz do syna, kiedy ich nikt nie mógł słyszeć — cała nasza dyplomacya nie zagalopować się za daleko i być w zgodzie z tymi i z tymi. Nie wierzę ja, aby oni z kijami w ręku mogli pokonać armaty, ale ta awantura może potrwać za długo, i gdybyśmy się im narazili, mogliby mieć czas jeszcze sadła nam gorącego zalać za skórę.

— Mądra to polityka, — odpowiadał kamerjunker, — ale trudna djabelnie.

Rzeczywiście polityka była niełatwa. Za czasów, kiedy w Polsce jedni byli za „Sasem“, a drudzy za „Lasem“ jechał drogą żydek, któremu jako praktycznemu człowiekowi polityka wcale nie była w głowie i dla którego dobrym był nie „Sas“, ani „Las“, lecz każdy, na kim można było zyskać. Jechał i napotkał gromadę szlachty, która go seryo zapytała z kim trzyma.

— Z Sasem, — odpowiedział żydek na chybi-trafi.

Źle trafił, ściągnięto go z wozu, powalono i wsypano kilkadziesiąt batów jako admonicyą, żeby z wrogiem kraju nie trzymał.

Nauczony doświadczeniem potomek Abrahama, gdy napotkał drugą gromadkę uzbrojonych, już im na pewne oświadczył, że trzyma z Lasem.

Ale znowu trafił niedobrze, — nie miał widać szczęścia żadnego do szlachetnej gry w cet-czy-licho. Spotkani byli stronnikami Sasa i taką samą admonicyą wsypali biednemu żydkowi na plecy.

Od tej chwili żydek już nie był głupi manifestować swoje sympatye polityczne takie lub owe. Gdy spotkał gromadę szlachty i gdy go zagadnięto, odpowiadał:

— Nu, co to pytać?.... Czy ja powiem Sasa, czy Lasa, to ja muszę dostać baty.... Na co mnie brać w skórę za jednego, albo drugiego? Chcecie panowie bić, to i bez pytania bijcie!

Markiz i kamerjunkier znajdowali się mniej więcej w położeniu takiego żydka. Szło im na razie tylko o to, ażeby wynaleźć jakiś sposób wyjścia bez wzięcia w skórę.

Najprostszym napozór sposobem było wyjechać zagranicę i tam przeczekiwać, aż się skończy ta zawierucha, aż się ostatecznie rozstrzygnie: kto będzie górą. Oba jednakże rządy i jawny i tajemny wyjątkowo tylko, bardzo niechętnie i z wielkiemi trudnościami udzielały paszportów, a wyjechać za paszportem od jednego tylko znaczyłoby to zerwać z drugim wyraźnie. Przytem kto wyjeżdżał, ten swój majątek narażał bardziej na zmienne losów wojny koleje, a pan markiz nie miał wcale ochoty ryzykować swojej fortuny.... Jemu owszem uśmiechała się nadzieja, że w tej zawierusze będzie mógł uzupełnić swe posiadłości i złączyć w jedną nieprzerwaną całość, ciągnącą się od Łaszczyniec aż po Gradowce, że będzie mógł przy tej sposobności stać się faktycznie tem, czem już był tytularnie, dzięki aktowi sprzedaży wystawionemu przez rotmistrza, — dziedzicem — Zaskala, które mu tak jak Prusom Hanower — do całości państwa jego było potrzebne!....

Ażeby pilnować całości majątku, ażeby go w najgorętszym wypadku najmniej uszczuplić, a w najlepszym jeszcze przysporzyć, należało koniecznie pozostać w kraju, na to więc zdecydował się pan de Ketteler. Mało jest spraw, dla którychby ludzie tego gatunku tak do heroizmu byli zdolni, jak dla sprawy własnej kieszeni....

Pozostał w kraju i pan Artur, chociaż ten właściwie mniej był do czuwania nad całością fortuny rodowej potrzebny, a osobiście na większe narażany niebezpieczeństwa.

Kobiety, te nieznośne kobiety, jakby zmówiły się przeciw niemu, Gdzie się pokazał, wszędzie go zapytywały:

— Kiedyż pan pójdzie do powstania?

Zapytania te były wypowiadane tonem, który nie pozwalał wątpić, że były brane na seryo.

— Natychmiast, jak się tylko w naszej okolicy coś zacznie, — odpowiadał na to pan Artur.

A gdy pytające, a częstokroć niedowierzające spojrzenia zdawały się go badać, dlaczego się uważa przywiązanym do swej parafii i zaścianku, jakby jaki *glebae adscriptus*, dodawał z miną tajemniczą:

— Mam instrukcye, do których stosować się muszę.... pracujemy nad tem, żeby i w tych stronach coś było.

Do czasu dzban wodę nosi. Można było tak odpowiadać dopóki w okolicy powstania nie było rzeczywiście. Ale wybuchnąć mogło. Wrzała Zahajpolszczyzna, organizowały się Gradowce. Wieści, które aż do pana Artura dochodziły, twierdziły zgodnie, że oczekiwano tylko przybycia dowódcy

przez Rząd narodowy mianowanego. Mogło to nastąpić lada dzień, a gdyby się nawet odwlekło, to mógł się ukazać oddział partyzancki utworzony gdzieindziej, mógł wkroczyć który z organizujących się w Galicyi, a wtedy urwałoby się ucho. Oddziały takie miały zły zwyczaj: gdzie się pojawiły, zabierały konie najlepsze ze stajni i najukochańszych synów — nawet senatorskich — z pod pierzyn....

Łamał sobie tedy głowę pan Artur, łamał i ojciec, jakby to niebezpieczeństwo zażegnać i wymyślili coś mistrzowskiego naprawdę.

Ułożyli pomiędzy sobą, że pan Artur starać się będzie, aby Rząd narodowy powierzył mu jaką misyą tajemną za granicę, zaś ojciec postara się ze swej strony, aby rząd jawny jak najsilniej obsadził wojskiem tę część Podola, w której leżały jego posiadłości, tak aby wszelką myśl organizowania tam oddziałów powstańczych, a nawet zamiary chwilowego zaglądania w te strony uniemożebnić. Którybądź z tych dwóch planów byłby się powiódł, zabezpieczoną byłaby osoba pana Artura od zbyt narażającego udziału w „awanturze patryotycznej", a gdyby się powiódł drugi, byłyby zarazem najskuteczniej zabezpieczone mienia rodowe od zbytecznych ofiar wymaganych w imię patryotyzmu.

— Naturalnie, mówił ojciec do syna, — że starając się o tę tam misyą... do której, mówiąc nawiasem, któż może być najodpowiedniejszym, jeżeli nie my de Ketteler, panowie z panów.... dasz dowód, żeś zdolny....

— Jaki dowód?

— Starać się będziesz tak dyplomatycznie, żeby się nie narazić rządowi jawnemu, a otrzymawszy misyą tajemną, będziesz ją pełnił tak tajemnie, żeby się nie skompromitować przypadkiem....

— To się rozumie, — odpowiedział syn ojcu, — ale naturalnie, że i ty ojcze będziesz dyplomatą.

— W czem?

— Starając się, aby naszą okolicę dobrze wojskiem — oczywiście moskiewskiem — obsadzono, będziesz pamiętał, aby przy tem obeszło się bez wszelkich kartek, listów, piśmiennych zawiadomień, które mogłyby wpaść w ręce naszych władców podziemnych*) i bez pośredników, którzy mogliby zdradzić...

— Zbyteczne przypomnienia.... od czegoż głowa? — odpowiedział pan markiz, klepiąc się po swoim wystającym brzuszku, jak zwykł był czynić ilekroć w jego łysawej przypruszonej siwizną głowie, zaświtała jakaś myśl wyższa, jakaś genialniejsza idea.

*) Powstańców.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

Pewnego dnia przyjechała do miasta w celu odwiedzenia dawnego, starego służącego, który przed kilku laty ożenił się, zamieszkał w mieście, a teraz leżał chory i opuszczony. Mieszkanie jego znajdowało się w najuboższej dzielnicy, na nędznem podwórzu, sąsiedzi zaś wybiegali z swych izdebek, aby się przypatrzeć młodej i pięknej pani, która przybyła do chorego Daniela. Biedny starzec, otoczony trojgiem dzieci, leżał na słomie w ponurej jakiejś komorze, a Helenka z przerażeniem patrzała na niego, nie mając dotychczas wyobrażenia o takiej nędzy. Żona umarła przed rokiem, z głodu i niedostatku, on sam, chociaż słaby i niedołężny pracował, jak mógł, aby wyżywić dzieci, ale teraz wypowiedziały mu siły posłuszeństwo, i był blizkim śmierci.

Helenka przyrzekła pomódz, wręczyła mu też zaraz znaczną sumę pieniędzy, a przedewszystkiem obiecała przysłać mu ubranie dla niego i dla dzieci. Wiedziała, że ani mąż, ani ojciec nie odmówią jej niczego.

Lord Chesley uśmiechnął się, gdy Helenka prosiła go zaraz po powrocie o odłożone ubrania.

— Weź, co chcesz — rzekł — przejrzyj sama moje szafy.

Helenka zabrała się też natychmiast do dzieła i na samym wstępie wpadła jej w ręce stara kurtka myśliwska, którą uważała za zupełnie stósowną dla starego Daniela.

Składając ją ujrzała w jednej z bocznych kieszeni jakiś papier.

— Dałby Bóg, — pomyślała — aby to był banknot — darowałabym go zaraz Danielowi! —

Wyjąwszy papier, przekonała się, że to list, i nie zdając sobie sprawy z tego, co robić, rozłożyła go i zaczęła czytać.

Był to ów list adwokata Lubanka, tyczący się rozwodu Artura!

I jak wówczas Artur, tak i ona musiała przeczytać go kilka razy, zanim zrozumiała treść jego. Wszakże była tu mowa o jej małżeństwie, Artur zaś pragnął uwolnić się od niej! Data listu brzmiała dwa miesiące po ich ślubie, a zatem był pisany kilka tygodni po powrocie męża z Londynu, dokąd jeździł w celu załatwienia ważnej jakiejś, jak mówił sprawy! I podczas kiedy ona, chora i słaba jeszcze tęskniła za nim i liczyła godziny do jego powrotu, starał on się już o to, aby jej się pozbyć!

Głuchy jęk dobył się z piersi nieszczęśliwej Helenki. List ten był wyrokiem jej śmierci i rozdzielał ją na zawsze od szczęścia, o jakiem marzyła!

Zabrała list ze sobą, i schowała go w swojem biurku, a gdy stary Daniel otrzymał cały stos ubrań i kosze z żywnością, nie przeczuwał, że prośba jego złamała serce dobroczynnej, ogólnie kochanej lady Chesley.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY.

Helenka namyślała się jeszcze długo, co zrobić z znalezionym listem. Czyż miała powiedzieć mężowi, że go czytała? Nie przyszło jej ani na chwilę na myśl, aby powierzyć swoje troski rodzicom — przeciwnie nawet, — unikała starannie wszystkiego, co mogłoby wzbudzić podejrzenie, że nie jest szczęśliwą.

Najgorszem dla niej zmartwieniem był w każdym razie ów list. Zdawało jej się, że przebolałaby brak miłości Artura, ale wiedzieć, że on starał się o unieważnienie ich małżeństwa — to było dla niej okropnym ciosem. I nie było ratunku, ani dla niego, ani dla niej — związani nierozerwalnym węzłem, musieli przez całe życie dźwigać ciężkie kajdany niewoli. Ach, ona by chętnie życie oddała, gdyby Artur i Janina mogli być szczęśliwi!

Z dnia na dzień stawała się biedna co raz to bledszą i smutniejszą. Przebywała po największej części sama, w swoim pokoju i oddawała się rozpaczliwym myślom. Rodzice zaczynali się niepokoić; bo cóż mogło dolegać ich ukochanej córce? Miała przecież wszystko, czego serce jej pragnęło, wszystko, czego miłość i pieniądze dać mogą, więc czemu nikła i więdła formalnie w oczach? Lady Marstone, nie mówiąc nikomu, napisała do lekarza do Londynu, i prosiła go o radę.

Helenka tymczasem straszne przechodziła męczarnie. Ile razy mąż przynosił jej kwiaty lub książkę, odwracała się od niego z uczuciem głębokiej rozpaczy. Dlaczego udawał jakąś troskliwość, jeżeli jej nie kochał? Raz przyniósł jej kilka pięknych róż. Helenka wzięła je obojętnie i położyła na stole.

— Mój podarunek nie znalazł łaski w twych oczach — zauważył Artur.

— Nie!

— Helenko! — rzekł poważnie, — dlaczego jesteś teraz tak dziwnie dla mnie zmienioną? Jesteś bladą, smutną i wyglądasz tak nieszczęśliwie! Powiedz, co ci jest, dziecko? —

— Nie mogę! — szepnęła, spuszczając głowę.

Ale siły nie starczyły jej długo na takie życie. Przyszło jej na myśl, że ponieważ rozwód jest niemożliwym, to może się jednak rozłączyć z Arturem, i to jeszcze byłoby lepszem, niż codzienne męczarnie wspólnego pożycia. Mogłaby mu tym sposobem wrócić chociaż część wolności!

Więc pewnego dnia kazała go prosić do swego pokoju, a gdy stanęła przed nim blada i drżąca, ogarnęło serce jego uczucie niezmiernej litości.

— Chciałabym z tobą pomówić bez świadków, Arturze, — zaczęła cicho. — Proszę cię, zajmij miejsce. —

Głos jej był tak bezdźwięczny, a oczy patrzały tak smutnie, że Artur zdumiał. Zdawało się, że to inna zupełnie kobieta.

Otwarta i szczera, jak zawsze, przystąpiła od razu do rzeczy.

— Muszę ci wyznać, — rzekła, — że się wstydzę, gdy pomyślę, że..... ach, chciałabym, aby się to nigdy nie było

stało! Jestem w rozpaczy z powodu naszego małżeństwa! —

Lord Chesley nie dowierzał własnym uszom.

— Nasze małżeństwo? — powtórzył. — Co to znaczy?

— Było to szaleństwem z mej strony — mówiła dalej, załamując ręce, — ale ja cię tak kochałam! Jest to jedyne moje uniewinnienie! Myślałam napewno, że umrę!

— Dlaczego mówisz o tem? — zawołał. — Przecież to już dawno minęło! —

— Byłam wówczas rozpieszczonem dzieckiem, ale odtąd nauczyłam się niejednego. Myślałam, że każdy mnie kocha, nie zapominaj też, że to była idea dziecka, chcącego nosić w godzinie śmierci twoje nazwisko, a nie życzenie kobiety, chcącej cię przykuć do siebie na całe życie.

— Wiem, wiem, ale nie rozumiem, dla czego...

— Przekonałam się — przerwała smutnie, że mnie nie kochasz! Ożeniłeś się ze mną dlatego, aby spełnić życzenie umierającej i byłeś pewien, że umrę. O nie mogę sobie tego darować!

O Janinie postanowiła nie wspominać wcale.

— Myśl, że mnie nie kochasz, sprawiała mi niewymowne cierpienie — mówiła dalej — ale jest to niczem w porównaniu do tego, co się w sercu mojem działo, gdy się dowiedziałam, że chciałeś rozwodu!

Blade jej usta drżały z wzruszenia.

Zkąd wiesz o tem? — zapytał Artur.

Helenka opowiedziała mu wszystko i podała mu znaleziony list.

— Więc pojechałeś umyślnie po to do Londynu, aby się starać o unieważnienie naszego małżeństwa?

— Tak — odrzekł otwarcie, widząc, że wszelkie przeczenia na nic się nie zdadzą.

— Dlaczego?

— Kochałem inną i chciałem odzyskać wolność, aby się z nią ożenić.

— Jesteś bardzo szczerym. Ale adwokat odebrał ci wszelką nadzieję!

— Tak!

— Chciałabym tak chętnie wypełnić twoje życzenie! Z początku zamierzałam zniszczyć ów list i nic o tem do ciebie nie mówić, ale to przechodziło moje siły. Jeżeli ci tak wiele zależy na rozwodzie, Arturze, to rozłączmy się dobrowolnie. Tej, którą kochasz, nie możesz wprawdzie zaślubić, ale nie będziesz przynajmniej zmuszonym żyć ze mną. Przecież to ci musi być okropną męczarnią!

— Nie miałoby to żadnego celu. Pomyśl o twoich rodzicach i o naszem dziecku!

— Uczyniłam cię nieszczęśliwym — szepnęła z rozpaczą — więc sam widok mój...

— Przestańmy już o tem mówić — przerwał stanowczo. — Powiedzieliśmy sobie wszystko, znamy całą prawdę, a zatem nie ma o czem dalej mówić. Życzę sobie, aby wszystko tak było, jak dotąd.

— Jak chcesz! — odrzekła zmęczona. — Wszystko mi jedno!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

— Ach, gdybym umrzeć mogła!

Była to obecnie jedyna myśl, jedyne życzenie Helenki. I pod wpływem tego zaczęło jej zdrowie upadać, stawała się coraz to słabszą i bledszą, tak, że przywołany lekarz zaniepokoił się na dobre. Uważał ją za zupełnie wyleczoną, tymczasem obecnie wyglądała tak, że stan jej zdrowia największe budził obawy. Jedynem lekarstwem, jakie mógł przepisać, była zmiana miejsca pobytu.

— Gdybym nie znał tak dokładnie córki pani, — mówił do lady Marstone — to sądziłbym, że przygnębia ją tajemny jakiś smutek lub troska. Na cierpienia duszy nie mamy lekarstwa, możemy tylko radzić wyjazd za granicę. Może to ją wyleczy.

Lady Marstone zapewniała uroczyście, że Helenka nie ma żadnego zmartwienia. Przecież wszyscy kochali ją i odgadywali jej życzenia!

Ale doktor twierdził, że są ludzie, którzy właśnie dlatego chorują, że mają wszystko, czego pragną.

— Może jest przesyconą szczęściem, — mówił — albo też dręczy ją jaki smutek. W każdym razie podróż jest konieczną. Tutaj nie wyzdrowieje, to jasne, trzeba ją wyrwać z apatyi! Jeżeli młoda kobieta stanie się nagle tak obojętną na wszystko, to musi być jakiś do tego głębszy powód!

Lady Marstone była pewną, że doktor się myli, bo nie było możliwem, aby Helenka miała mieć jakie zmartwienie. Która z kobiet posiadała tak uprzejmego, troskliwego męża, śliczne dziecko, kochających rodziców, majątek i wszystko, co do szczęścia potrzeba! Nie, lekarz mylił się, ale podróż nie złą była myślą. Więc też po krótkiej naradzie postanowili wszyscy towarzyszyć Helence do Włoch, gdy jednak po raz pierwszy wspomniano o tym planie, była Helenka jedyną, która się temu opierała.

— Po co sprowadzałaś doktora, mamo, — zawołała niechętnie. — Jestem zupełnie zdrową i nie potrzebuję zmiany żadnej. Tu w domu jest mi najlepiej.

— Ale my się tak cieszymy na tę podróż — rzekł sir John.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SZEWCZYK SZCZYGIEŁ,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

(Dokończenie)

W pierwszej chwili Piotruś chciał już pędzić na ratunek biednym pogorzelcom, a niepewność i niespokojność o biedną matkę, której jedyne mienie, stara zagroda w Pyzdrach, może już pastwą płomieni i rabunku, wznawiały straszną walkę w jego sercu. Tu powinność woła, ażeby przytłumił uczucia serca i pospieszył za Budkowskim do Rataj — gdy biedne serce kołacze w piersi i żałośnie szepce: — Ratuj biedną, starą twoją matkę.

Okropna walka miotała sercem naszego „sierotki“.

Spojrzał daleko, ku pożarowi i przeżegnał się...

— Nie! — zawołał — pierwsza ojczyzna niżli miłość macierzyńska... Niechaj się dzieje wola Boża — ruszaj naprzód Budkowski!...

Konie raźnie parsknęły i w kilka chwil potem cały ten hufiec konfederacki znikł w ciemnych mgłach nocy...

Daleko za nimi buchnęły jaskrawo płomienie pożaru i czarne kłęby dymu okrążyły czerwieniejącą się łunę.

. . . .

Teraz kochany Czytelniku stawiam przed oczy twoje ostatni obrazek z życia naszego „sierotki.“

Jesteśmy w karczmie Ratajskiej; w około nas straszne, ogorzałe rozpustą i pijaństwem twarze, wściekłe krzyki jednych, głuszą rozpustne śpiewy i przekleństwa drugich, a nad wszystkiem rej wiedzie znany nam wachmistrz Budkowski...

Włosy jego pomierzwione, twarz zaczerwieniona, oczy krwią nabiegłe, i suknie podarte i krwią zbryzgane, świadczą o strasznej, przed chwilą odbytej scenie, której ofiarą padł... biedny nasz Piotruś...

— Zemsta!... wrzeszczy rozwścieklony Budkowski — krwi!... on jeszcze żyje!... doduście tę żmiję... ha! on śmiał mnie w twarz uderzyć...

— Zemsta! — wrzasnął cały chór rozpitej tłuszczy...

Zabrzęczały okna starej Ratajskiej karczmy i nowe wrzaski i krzyki wstrząsły szynkowną izbą...

A w alkierzu pod ławą na brudnej podłodze konał nasz „sierotka“ i krew strumieniem buchała mu z rany zadanej ręką wyrodka — w dłoni cisnął mały, czarny krzyżyk i zwiędły listek kwiatu...

Wtem głuchy jęk wydobył się z stygnących jego ust; nowa rana krwią zaczerwieniła się na piersi...

Nad konającym Piotrusiem stał pochylony Kawecki, skrwawiony nóż w drżącej trzymając ręce...

— Jezus! Marya! Józef!.... — krzyknął z ostatnim wysileniem Piotruś, konwulsyjnym ruchem przycisnął krzyż do skrwawionej piersi; i... skonał...

Równocześnie dziki, zachrypły śmiech odbił się o ściany alkierza, i wśród radosnych okrzyków rozbitej tłuszczy, padł rozczulony Budkowski w objęcia rudego przyjaciela....

. . . .

XIII.

Na mogiłce.

Nasza powiastka zbliża się już ku końcowi.

Szanowny Czytelnik zarzuci nam może, żeśmy, zanadto pobieżnie lub nieokrągło zamknęli nasz obrazek, kilku rysami zakończywszy życie i czyny naszego bohatera, w pierwszych rozdziałach tak bujnie i pięknie rozkwitające. Tak było je-

dnak niestety! Nie płód to bujnej fantazyi, lecz *factum* historyczne, nie wybryk gorączkowy lub dziwne zachcenia autora, lecz skutek chorób wieku, których straszne znamię widzimy w niedalekiej historyi...

Teraz rozjaśnmy kilku słowy ostatnie zaszłe wypadki.

Budkowski, zbiegłszy z kilkudziesięciu towarzyszami z pod rozkazów Malczewskiego, zaczął na piękne prowadzić rozbójnicze życie, rozbijając dwory, paląc wsie i rabując podróżnych. Zbliżywszy się nareszcie aż pod same Pyzdry, prowadzony dziką chucią zemsty, wpadł w towarzystwie Kaweckiego wśród ciemnej nocy do miasteczka, podpalił sadybę matki naszego Piotrusia, gdy Kawecki dla własnego zadowolenia podłożył ogień pod stary Pyzdrski kościółek... Kościół zgorzał ze szczętem, zagrodę Wojciechowej wyratowano.

Wtenczas to uciekającego spotkał Piotruś na błoniu pod jarem „Michałowej Kopani“ i zdradną pokorą omamiony dał się uwieść, i wpadł w sidła.... Zdążywszy do Rataj, otoczony bandą łotrów, musiał uledz. Towarzysze jego wśród rozpaczliwej walki wszyscy wyginęli, on sam ciężko ranny, skonał wśród najokropniejszych męczarń i pastwień, na brudnej podłodze karczemnej pod ławą...

Niedługo potem Budkowski z całym swoim oddziałem — umknął....

. . . .

Minęło kilka tygodni.

Był to ciepły, jesienny poranek. Słońce przybrawszy bledszą trochę sukienkę, wyjrzało z za gęstych jesiennych chmur, i dobroczynnem światłem ogrzało zasypiającą już ziemię; trawki pożółkły, i stuliwszy swe główki, układały się powoli do zimowego snu.

Pomimo jednak nadchodzącej już pory, w której zimny wiatr północny rozpoczyna swe tańce i dzikie hulatyki po błoniach, łanach i lasach – dzień był jednak pięknym, a wijące się tu i ówdzie po powietrzu jasne, pajęcze nitki, zapowiadały długą jeszcze pogodę...

Za folwarkiem Ratajskim, niedaleko gościńca, prowadzącego do Pyzdr, zielenieje się niewielka, świeżą darnią pokryta i wonnemi kwiaty osadzona mogiłka. Wokoło niej widzimy cztery osoby klęczące.

Z jednej strony osiwiały mężczyzna trzyma za rękę młodziuchne dziewczę; naprzeciw klęczy stara przygarbiona kobieta, z młodem, dziesięcioletniem dziewczątkiem u boku.

Jak się już nasze Czytelniczki domyśliły, zielona mogiłka, to ostatnie mieszkanie naszego Piotrusia; klęczące osoby, to starzy nasi znajomi: Pan Kazimierz, Leosia,stara Wojciechowa i młoda jej córeczka...

Cała ta gromadka pogrążona w szczerej, serdecznej modlitwie; modły to za obrońcę rodzinnej ziemi, za syna, brata i za kochanka...

I cicho, rzewnie płynie święty szept modlitwy, z nad zielonej mogiłki, hen, wysoko przed tron Przedwiecznego!...

. . . .

XIV.

Zakończenie.

Ukończyliśmy nasz obrazek.

Jeszcze wypada nam kilku rysami doszkicować ten wątły rysunek, ażeby ciekawy Czytelnik otrzymał z tego dokładniejszą całość.

Po zgonie Szczygła osierocony oddział jego rozproszył się szeroko po całej Polsce, jedni przyłączyli się do Morawskiego, drudzy do Sawy, inni znowu do Malczewskiego. Wielu błądzących po lasach wyłapali Moskale, wielu wśród krwawej, rozpaczliwej walki z orężem w ręku traciło życie...

Cóż powiemy o starej Wojciechowej, gdy ją wiadomość o zgonie drogiego syna doszła?... Malować rozpaczliwe uczucie matki w tak okropnej chwili, z prawdą i życiem oddać jej smutek i bezprzykładne poddanie się woli Bożej — słabe nasze pióro nie podołałoby....

Wy, zacne nasze matki i polskie dziewice, rozumiecie to okropne uczucie — serce polskiej niewiasty zna je dobrze!...

W kilka dni po zgonie Piotrusia, przyjechał pan Kazimierz z Leosią do Pyzdr. Zmartwiony, patrząc na boleść córki, postanowił opuścić Gniezno. Sprzedał starą swoją kamieniczkę na przedmieściu, Leosia pożegnała ukochany swój malutki ogródek, i niedługo potem, wyjechali do Pyzdr. Stroskana Wojciechowa z wdzięcznością przyjęła ich pod swoją strzechę. Pan Kazimierz zajął się gospodarstwem, odbudował na wpół spalony dworek biednej wdowy, słowem był on prawą ręką niepocieszonej matki Piotrusia.

Leosia długo nie mogła przyjść do siebie. Po stracie istoty, która po ojcu najdroższą była jej sercu, długo bolała, i chociaż później ocknąwszy się, objęła w pracowite swe rączki domowe gospodarstwo Wojciechowej, zajęła się kształceniem małej córeczki — smutek wrył się w jej zbolałe serduszko, i pozostał tam już na zawsze....

* * *

A Budkowski?... zapyta Czytelnik ciekawy dalszych losów tej czarnej duszy.

Tu przytoczę urywek z pamiętnika ówczesnego kronikarza, ks. Kitowicza. który tak opisuje koniec Budkowskiego:

„Budkowski spłatawszy to okrucieństwo, chodził osobno z swoją komendą, nie łącząc się z Malczewskim. W niedziel ośm lub więcej po tej robocie, niejaki Rycki, rotmistrz, konfident i kolega w palestrze kaliskiej przed konfederacyą Budkowskiego, sprowadził go na parol do Malczewskiego. Malczewski dla owego parolu przyjął Budkowskiego łagodnie, ludzi mu jednak odebrał i do innych rot wmięszał; jemu zaś w politycznym areszcie przy sobie zostawać kazał, pókiby się z zadanego zabójstwa nie oczyścił, które Budkowski zuchwałem porwaniem się Szczygła na niego justyfikował. Gdy się w późniejszym czasie uformowała izba konsyliarska (tak zwana konfederacka) w Poznaniu, podniosła proces kryminalny przeciw Budkowskiemu, kazała go okuć w kajdany, a po wyprowadzonych inkwizycyach, łeb mu uciąć, jako zbójcy dobrowolnemu człeka niewinnego. Lecz od tej kary Budkowski, za faworem różnych instancyi został uwolniony i w pułku Morawskiego, przy którym chodząc kilka czasów, żadnego dzieła przeciw nieprzyjacielowi nie pokazawszy, nareszcie zabrawszy mu wiele rzeczy skarbowych i kilkanaście koni, uciekł do Moskali, przyjąwszy służbę wojskową w pułku Renna, w randze wachmistrza, w którem to przedzierzgnieniu siebie z Polaka w Moskala, biednych konfederatów, którzy się w ręce moskiewskie dostali, prześladowcą był najokrutniejszym.

„A gdy po skończeniu konfederacyi pułk Renna dostał ordynans wyjścia z kraju polskiego, Budkowski został w ojczyźnie, w której za infamisa od publiczności poczytany, nie mając nigdzie miru, udawszy się na debosz i hultajskie życie, stracił majątek i do ostatniej przyszedł mizeryi....“

Kawecki zaś —

„który ostatni sztych najokrutniejszy zadał Szczygłowi, tułając się po różnych komendach konfederackich, złapany pod Piotrkowem na rabunku, za wyrokiem Zaremby, regimentarza generalnego konfederacyi wielkopolskich, został rozstrzelanym...“

. . . .

Jeszcze kilka słów o naszych poczciwych Pyzdrzanach.

Ksiądz Eustachy dożył ósmego krzyżyka. Całe miasteczko szanowało go jakby jakie relikwie — uważając siwego staruszka za swego patrona, proroka i ojca. Gdy niedługo przed zgonem Szczygła zgorzał stary, Pyzdrski kościółek, poczciwy pleban użył długą swą pracą oszczędzonej, niewielkiej sumki pieniężnej na odbudowanie nowego domu Bożego. Mszę za duszę Piotrusia z uroczystością odczytał na jego mogiłce koło Rataj....

Stary organista z każdym dniem tracił na humorze. Miodek mu już nie smakował, gawędki nie lubiał — nawet do samej pani Wojciechowej rzadko kiedy zaglądnął.

W kilka dni po ostatnich wypadkach, któreśmy powyżej opisali — widziano go, jak zadumany, wychodził daleko za miasteczko, i późną nocą już wracał.... Niedługo potem wyszedłszy jak zwykle wieczorem za miasteczko, nie powrócił już.... Odtąd i ślad po nim zaginął; z cicha tylko szeptano, że gdzieś tam pod Morawskim kropi Moskali co się zowie...

. . . .

Szanowny pan bakałarz zaś ostatniemi czasy znacznie podupadł na siłach i humorze. Narzekał na świat i ludzi — aż pewnego wieczorku, będąc na ósmych z kolei chrzcinach u byłej po śp. Macieju wdowy, objadł się zanadto ulubionych swoich pierogów, i trzeciego dnia potem, bogobojny swój żywot zakończył....

Henryk Mierzeński.

Racławice.

Racławice! Racławice!
Okrzyk bieży w dal...
Rzućmy żony i dziewice
I niewczesny żal!

Weźmy kosy — weźmy piki
Wolność — albo skon!
Bieżą echem te okrzyki
Od pługów i bron.

Czas już zrzucić Moskwy pęta
W gnieździe naszem wróg,
Lećmy śmiało jak orlęta,
Niech nas wiedzie Bóg!

Walka będzie tak zaciekłą,
Że aż zadrży świat!
Że się zdziwi niebo, piekło,
Ludzie przyszłych lat!

Każde serce żywo bije,
Wiej wietrzyku, wiej!
Powiedz światu, Polska żyje!
Żyje w chwale swej!

Racławice! Racławice!
Bieży w dal ten głos...
Płaczą matki i dziewice,
Słychać podźwięk kos.

Starzec syna błogosławi,
Zażegnuje grom;
Matka z cicha oko łzawi,
W smutku cały dom.

Dziewczę żegna się z kochankiem —
Swego szczęścia kłos,
Składa dzisiaj z ślubnym wiankiem
Na ofiarny stos!

Biegnie młodzież na plac boju
Po sławę i mir,
A kraj cały w niepokoju
Przywdział smutku kir!

Już pobiegli — już ich nie ma —
Cisza, ból i łzy,
Tylko ziemia ich rodzima
Głuchem echem drży!

Janina z Z... Ł.

Nasze illustracye.

(Bitwa pod Racławicami).

Kościuszko wiedział, że mu przyjdzie toczyć ciężkie walki z wrogami, dokładał zatem usilnych starań, aby zebrać znaczne wojsko i wprawić je do boju. Zaczęli się zbierać do Krakowa ochotnicy i rekruci, a szczególnie włościanie krakowscy. Brakło broni, przeto zostali uzbrojeni w kosy i piki. Nazwano ich kosynierami, bo wyłączną ich broń stanowiła kosa, która się dała nieraz w znaki wrogom Polski.

D. 1. Kwietnia wyruszył Naczelnik z Krakowa. Mała jego armia składała się z 2000 ludzi, t. j. około 1000 piechoty, 500 jazdy i 500 kosynierów. W czasie pochodu połączyły się z nim oddziały konne Madalińskiego i Manżeta, przybywali także wieśniacy.

D. 4. Kwietnia 1794 r. zaszła pamiętna bitwa pod Racławicami, która choć była właściwie małą potyczką, zażywa jednak wielkiego w dziejach naszych znaczenia. Drogie jesteście sercu polskiemu Racławice, gdyż tu po długich latach pierwszy raz włościanie polscy stanęli śmiało do boju z wrogami Ojczyzny, odnosząc świetne zwycięztwo, a że w ludzie wiejskim spoczywa nadzieja zbawienia, przeto bitwa racławicka pozostanie na zawsze pamiętna, bo tu polscy włościanie przyjęli niejako krwawy chrzest na obrońców Ojczyzny.

Pod Racławicami spostrzegli Polacy nadciągających Moskali pod dowództwem jenerała Tormansowa. Wojsko nieprzyjacielskie liczyło przeszło 6000 dobrze wyćwiczonych żołnierzy i 20 armat, a polskie 11 lichych armat i 4000 ludzi, z tych połowa była uzbrojona tylko w kosy, piki i siekiery. Pierwsi Moskale uderzyli, a natarcie ich było tak silne, że polskie zastępy chwiać się zaczęły. Trzy razy uderzyli Madaliński i Zajączek na czele kawaleryi, a trzy razy byli odparci. Część polskiej jazdy, ustąpiła z placu boju. Moskale idą śmiało naprzód, ale wnet cofnęli się, gdyż strzelcy polscy, ukryci w lasku, powitali ich celnemi strzałami. Wtedy Naczelnik stanął na czele kosynierów i rozproszył środkową kolumnę moskiewską.

Pozostawało jeszcze prawe skrzydło nieprzyjacielskie nietknięte. Moskale śmiało idą, lekceważąc sobie polskich powstańców. Armaty moskiewskie raziły dotkliwie naszych. Kościuszko zbiera po raz drugi kosynierów, zasłania ich z tyłu piechotą, aby snać nie chcieli uciekać, a potem przemówiwszy do nich serdecznie: „Dalej chłopcy, wziąść te armaty!“ rzuca się śmiało do boju. Chłopi krakowscy poskoczyli pędem, trzymając w ręku kosy, które krwawo błyszczały, oblane światłem zachodzącego słońca. Tylko dwa razy zdołali Moskale dać z armat ognia, gdyż wnet dognali ich kosynierzy, rąbiąc bez litości. Straszna rzeź się zaczęła, szczęk kos daleko się rozlegał, rzucając postrach w szeregi nieprzyjacielskie. Najdzielniej się odznaczyli wieśniacy Bartosz Głowacki z Rzędowic i Stach Swistacki, którzy pierwsi stanęli przed armatami i własnemi czapkami zakryli zapały, tak że kanonierzy moskiewscy już nie zdołali wystrzelić. Jeden z nich położył się na swej armacie, mówiąc: „Och! ne puszczucia swojej matuszki!“ Wtem krzyknie kosynier Swistacki: „Obaczymy, czy puścisz lub nie!“ i ciął silnie, a cięcie było tak potężne, że Moskal został na dwoje rozpłatany. To dzielne natarcie kosynierów, a mianowicie owych dwóch „ludowych rycerzy“, jak ich zowie L. Wegner, zmusiło Moskali do ucieczki. Zachodzące słońce powitało Polaków, jako zwycięzców. Padło 600 Rosyan trupem, 12 ich armat i jedna chorągiew dostała się w nasze ręce; Polacy mieli 150 zabitych i 200 rannych.

Kościuszko ogłosił narodowi polskiemu o zwycięztwie raport, w którym czytamy: „Narodzie podnieś ducha twojej odwagi i twego obywatelstwa“, a w końcu: „Racz poczuć narodzie twą siłę, dobądź jej całkowitej, chciej być wolnym i niepodległym; jednością i odwagą dojdziesz do tego szanownego celu!“ Bartosz Głowacki został za waleczność mianowany chorążym, to jest porucznikiem grenadyerów krakowskich.

Teofil Lenartowicz napisał piękny wiersz o bitwie racławickiej, gdzie się znajduje następny prześliczny ustęp:

Komu Pan Bóg błogosławi,
Temu się i wiedzie,
Idzie sobie Stach Swistacki,
A Głowacki jedzie,
Jedzie, jedzie na armacie,
Na smoku mosiężnym,
Czapką wiewa, a lud śpiewa,
Głosem tak potężnym,
Jak na wiosnę się przewala
Fala rozdąsana;
Danaż moja, dana, dana,
Ojczyzna kochana!

Józef Chociszewski.

jest na stronie 388-tej niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 1 marki posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie*

Kalendarz Maryański

albo też ładną książkę.

Kto zjedna kilku abonentów i nadeśle kwity, ten otrzyma kilka ładnych książek.

Komu zależy na tem,

by z czasem mieć pokaźną

Bibliotecezkę domową

polskich dzieł wyborowych,

a za tani pieniądz,

ten niech zaabonuje na poczcie

„Czytelnią Polską“,

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Austryi 30 centów,

a pod opaską 60 centów.

Kto raz „Czytelnią Polską zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi

co tydzień

we formacie książki w objętości 16 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowić będzie w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt będzie dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału więc każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy więc choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Pomiędzy innemi *„Czytelnia Polska“ będzie miała jeszcze i tę zaletę, że takową każde dziecko czytać może i czytać powinno!*

Pierwszą seryę „Czytelni Polskiej“ rozpoczniemy

obchodem jubileuszowym

naszego wielkiego pisarza — t. j. drukiem „Nowel Sienkiewicza“, z podaniem tegoż fotografii i odnośnem streszczeniem życiorysu.

Przy każdem rozpoczęciu druku jakiegokolwiekbądź utworu w „Czytelni Polskiej“ podamy zawsze fotografią autora wraz z objaśniającym tekstem. Wskutek tego przyczyni się „Czytelnia Polska“ do zaznajomienia szerszego ogółu czytelników z naszymi pisarzami.

Prosimy zażądać numera okazowe Czytelni Polskiej, które nadeślemy natychmiast gratis i franko.

Kwit abonamentowy na **„Czytelnią Polską“** zamieszczony jest na stronie 388 niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 50 fenigów posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Wiadomości.

Szanownych Abonentów, odbierających „Pracę“ pod opaską, upraszamy o bezzwłoczne nadesłanie przedpłaty na nowy kwartał, gdyż w przeciwnym razie już im następnego numeru nie wyślemy. Administracya „Pracy“.

Artykuł w sprawie Związku Banku Spółek odnośnie w sprawie znanych oświadczeń byliśmy zmuszeni dla braku miejsca odłożyć do następnego numeru. Również zmuszeni byliśmy odłożyć do następnych numerów nadesłane nam korespondencye, sprawozdania itd. za co najmocniej przepraszamy autorów i Towarzystwa.

Koncert niedzielny na cele kasy Towarzystwa Wykładów ludowych miał pod każdym względem powodzenie. Amatorzy wywiązali się dobrze ze swego zadania i publiczność także dobrze ze swego obowiązku, bo się tak licznie stawiła, iż wszystkie miejsca zostały wykupione. Panu dr. *Jarnatowskiemu*, który kilka razy grał na skrzypcach, sprawiono formalną owacyą. Rzucano mu na scenę bukiety, podawano mu bukiety, a w końcu wręczono mu wspaniały wieniec z wstęgami.

Koncert niedzielny na cel Tow. Wykł. Lud. przyniósł 493.20 m. czystego zysku, które oddane zostały do kasy Tow. Wykł. Ludowych.

Szanownym pp. Irenie Suszczyńskiej, Halinie Drygas, i pp. dyrektorowi Dembińskiemu, dr. Kaźmierzowi Jarnatowskiemu i Mieczysławowi Eichstaetowi składam w imieniu zarządu Tow. Wykładów Lud. za łaskawy współudział w koncercie najszczersze podziękowanie. *Dr. Pomorski.*

W tutejszej szkole budowniczej stawało do egzaminu dnia 21. i 22. z. m. 31 kandydatów, wszyscy egzamin złożyli; pomiędzy nimi znajdowało się 4 Polaków i to pp. Tadeusz Gurtler z Miechorzewa, Łucyan Liersch z Gniezna, Antoni Olszewski i Roman Wojkiewicz z Jeżyc.

Białogród pomorski. (Belgrad.) W tutejszem gimnazyum zdało egzamin dojrzałości dwóch Polaków: pp. Adam Piotrowski z Gołańczy i Romuald Sołtysiński z Szelejewa.

Od Redakcyi.

Panu Eugeniuszowi B. w Lisku (Galicya). — Bliższej informacyi w tej sprawie udzielić nie możemy.

Panu S. A. T. w Moszczenicy (Galicya). Patrz „Zaproszenie do przedpłaty“.

Panu K. w Cieszynie (Ślązk Austryacki) Udaj się pan do „księgarni Katolickiej“ w Poznaniu, Stary Rynek.

Panu Franciszkowi R. w Ł, (Prusy Zach.) „Zielona Apteka“ w Poznaniu, ulica Wrocławska.

Panu Tur. w Stanowej Woli (Galicya). Jednodniówka wyszła tylko raz jeden.

Panu Wiktorowi J. w U. (Westfalia). Udaj się Pan w tej sprawie z odwołaniem się na „Pracę“ do malarza-artysty p. T. Steinmetza w Poznaniu, ulica Rycerska 37.

Dr. P. w Poznaniu. Bardzo żałujemy, żeśmy nie mogli zamieścić przypomnienia, ale notatkę odebraliśmy za późno, (dnia 23 z. m. przed południem), gdy numer 12-ty był już wydrukowany.

Pani I. S. w Poznaniu. Załatwimy w najbliższym czasie. Co do drugiej sprawy to przyjmiemy, jeżeli bezinteresownie.

Panu Fr. K. w K. Wystawa w Warszawie już zamknięta. Obraz przewożą na wystawę do Paryża.

Zwłaszcza dwory nasze powinny „Czytelnią Polską“ abonować po kilkadziesiąt egzemplarzy dla swego ludu roboczego.